

Literackie światy Piotra Guzego

Marcelina Janisz

W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzego: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy*, a w 2016 wznowiono powieści *Zwidy na wysokościach* oraz *Requiem dla pani Tosi*. Autor w wieku 94 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznowiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość. Warto w tym kontekście przypomnieć jego twórczość prozatorską, która nie doczekała się szerszych i całościowych badań oraz opracowań.

Proza Guzego dojrzewała i przekształcała się wraz z rzeczywistością, stawała się wielowymiarowa i nieprzeciętna. Problematyka utworów pisarza wyrasta częściowo z jego biografii – doświadczeń wojennych i życia w Polsce w okresie

stalinowskim. Jednak to perspektywa emigranta stała się przełomowa w pisarstwie Guzego, owocując niezależnością sądów i pogłębieniem warstwy refleksyjnej. Pisarz stawia gorzkie diagnozy człowieka i zniewolonej ideologicznie ojczyzny.

Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 roku w miejscowości Zawadzkie na Śląsku Opolskim. Jego ojciec Juliusz Guzy pracował jako urzędnik pocztowy. Przyszły pisarz uczył się w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Księcia Jana Opolskiego oraz w Liceum Pedagogicznym w Tarnowskich Górach. Podczas II wojny światowej przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do wojska polskiego, formowanego przez gen. Władysława Sikorskiego. Po kapitulacji Francji latem 1940 roku znalazł się w Anglii, gdzie dołączył do tworzonej tam polskiej Brygady Pancernej gen. Stanisława Maczka. Służył w Pułku Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej, stacjonującej w Szkocji. W 1944 roku został poważnie ranny w walkach pod Bredą w Holandii. Po rekonwalescencji w angielskim szpitalu postanowił studiować ekonomię oraz nauki polityczne i w 1946 rozpoczął naukę na Uniwersytecie Londyńskim. W Anglii ożenił się z Ishbel Frances Reynolds. W 1949 roku postanowił powrócić do Polski, w rodzinne strony, do Tarnowskich Gór. Pracował w spółdzielni spożywców i kontynuował studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, uzyskując stopień magistra w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych.

W 1952 roku zadebiutował opowiadaniem *Jędraszkanie*, które opublikowane zostało w piśmie „Nowy Świat”. Współpracował także z „Gazetą Poznańską” i „Tygodnikiem Zachodnim”, w którym prowadził przegląd niektórych periodyków angielskich i amerykańskich pod wspólnym tytułem *Na Zachodzie*. W połowie lat 50. XX wieku opublikował w kraju cztery powieści o tematyce kryminalnej, szpiegowskiej i sensacyjnej: *Następny odchodzi* 22:25 (1955); *Nocny zrzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956)[1] i *Wenus z brązu* (1956). W tym czasie dojrzewała w nim decyzja o ponownej emigracji. W roku 1957 zdołał przedostać się z rodziną przez Berlin do Anglii, gdzie zamieszkał w Leicester. Początkowo pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC w Reading, w hrabstwie Berkshire. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Podjął także współpracę z pismami „Kultura” i „Wiadomości”, w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje. Poza krajem ukazały się jego najbardziej znane powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966) oraz *Stan wyjątkowy* (1968). Oba utwory zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne – za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury”, zaś *Stan wyjątkowy* uhonorowano nagrodą „Wiadomości”. Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.

Piotr Guzy

**Odwiedziny u duchów
i inne opowiadania**





W 1977 roku Guzy wyjechał do Hiszpanii. Napisał i opublikował jeszcze trzy powieści: *Wielkie nieszczęście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku); *Requiem dla pani Tosi* (1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (1994). Obecnie mieszka w Daimuz i nadal zajmuje się literaturą oraz pisarstwem. W kraju jego opowiadania ukazały się na łamach „Zeszytów Literackich”. W wywiadzie *Musiąłem wyjąć z szafy trupa i go pogrzebać* z 2000 roku, który ukazał się w miesięczniku „Śląsk” (2000, nr 2), pisarz wspominał o swoich dalszych planach literackich:

W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Literackich”

opublikowałem fragment jednego z opowiadań, nad którym teraz pracuję. W poprzednich książkach musiałem z siebie wyrzucić okropności powojennych doświadczeń z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiedzieć o swoich odczuciach. Musiałem wreszcie wyjąć z szafy tego trupa i ostatecznie go pogrzebać [...], na szczęście te opowiadania dotyczą innego świata przeżyć.

Gorącym orędownikiem ponownego odkrycia Piotra Guzego i odczytania na nowo jego prozy, jest Florian Śmieja, który pragnie znaleźć dla niego godne miejsce w historii literatury polskiej. Jego twórczość już wcześniej zwróciła uwagę znawców literatury emigracyjnej – Marii Danilewicz Zielińskiej, która tak charakteryzowała dwie emigracyjne powieści pisarza:

Obie powieści Guzego dopełniają się i nieważna jest w nich fabuła, zresztą konsekwentnie obmyślana i przeprowadzona, ale odtworzenie tego, co Broński określił w recenzji książek Guzego jako „zdyszany bełkot” ludzi zaszczytanych, przerażonych czy bez ratunku zagubionych w labiryntach „stanu wyjątkowego

oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który nazwał Guzego pisarzem „o wielkim talencie”.

Twórczość Guzego dzieli się na dwa okresy: krajowy i emigracyjny. Debiutował on powieściami o charakterze popularnym; nie mógł w nich jednak pisać o ważnych dla siebie tematach i wyrażać krytycznych poglądów na krajową rzeczywistość. Dopiero emigracja dała mu możliwość rozwinięcia skrzydeł. Powieści tam pisane są dojrzałe, osadzone w konkretnej rzeczywistości. Guzy stworzył bohatera, który zмага się z własnymi słabościami, rzeczywistością komunizmu, naciskami władzy. Postacie mają pogłębione rysy psychologiczne, a poruszane tematy nawiązują do aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie.

Szczególnie ważny w twórczości Guzego jest cykl powieści o Polsce lat 50. i 60. XX wieku, który tworzą w zamierzeniu autora utwory: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, *Stan wyjątkowy*, *Requiem dla pani Tosi* i *Zwidy na wysokościach*. Ich bohaterami są emigranci, agenci służby bezpieczeństwa, milicjanci i ubecy – ludzie, na których ciąży przeszłość. Charakteryzuje ich zniewolenie psychiczne i utrata wolności – są trybami w bezwzględnej machinie komunistycznego systemu. Autor uczciwie rozlicza się z przeszłością, ale pisze o niej ironicznie, z karykaturalnym przerysowaniem. Opowieści o PRL-u przeplatają się ze wspomnieniami czasu wojny. Bohaterowie Guzego są zwykle naznaczeni wojennymi traumami, przeszłość nie jest dla nich okresem zamkniętym i zapomnianym, ale wpływa na teraźniejszość, determinując także życie codzienne.

Taką „podwójną” rzeczywistość pisarz przedstawił w powieści *Stan wyjątkowy*, która opowiada o polskiej rodzinie, starającej się po wojnie ułożyć sobie życie w kraju. Egzotyczny świat PRL-u inspirował wielu pisarzy, czego przykładem są książki Leopolda Tyrmanda *Zły* i *Dziennik 1954* oraz powieść Stefana Kisielewskiego *Śledztwo*. Na emigracji w krzywym zwierciadle ukazywał działalność agentów Urzędu Bezpieczeństwa Czesław Straszewicz w drugiej części powieści *Turyści z bocianich gniazd*, zatytułowanej *Kociołek na Ziemowita*. *Stan wyjątkowy* Guzego składa się z czterech części. Ich bohaterami są przedstawiciele kilku pokoleń Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową. Każdy z nich opowiada swoją historię. Pojawia się stara matka, która podczas wojny straciła bliskich i szuka ukochanego syna Jerzego, a także mąż poszukujący zaginionej żony, więźniarki obozu koncentracyjnego. Kolejne części nawiązują do poprzednich – pojawia się zaginiony Jerzy – więziony w okresie stalinowskim, który po październikowej amnestii wychodzi na wolność. Wyjaśnia się wojenna przeszłość zaginionej żony, której tragiczną przeszłość odkrywa córka Wanda.

Narracja powieści ma formę strumienia świadomości – wspomnienia i myśli bohaterów przeplatają się z przeżywaniem przez nich teraźniejszości. Jak w sennym koszmarze nieustannie powracają w nich dramatyczne wojenne zdarzenia: śmierć bliskich i własne cierpienia. Powtarzające się, fragmentaryczne

obrazy ilustrują stany psychologiczne bohaterów. Autor podkreśla, że o wojnie nie można zapomnieć, ciągle żyje w tych, którzy ją przeżyli, staje się ich integralną częścią, prześladowczym demonem, zakorzenionym głęboko w podświadomości. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1947-1966, czyli obejmuje okres formowania się i umacniania się w Polsce systemu komunistycznego.

✖ Zmagania z wojenną przeszłością – tym razem ze zbrodnią katyńską i jej konsekwencjami dla życia bohaterów – są tematem powieści *Requiem dla pani Tosi*. Tytułowa postać jest wdową po zamordowanym w Katyniu oficerze. Pracuje w Londynie w Ośrodku Badań Spraw Polskich. Jest szantażowana przez komunistycznych agentów, którzy, grożąc skrzywdzeniem jej bliskich, zmuszają ją do współpracy. W powieści w sposób wielostronny podjęty został motyw zdrady (małżeńskiej, bliskich, ojczyzny). Pisarz przekonująco przedstawił stan osaczenia przez agentów, którzy mają się wszelkimi sposobami, by pozbawić kobietę wolnej woli, poczucia bezpieczeństwa i zmusić do zachowań, które są sprzeczne z jej etycznymi zasadami i patriotycznym kodeksem.

Innym tematem, który pasjonuje Piotra Guzega, jest wiwisekcja relacji między kobietami i mężczyznami. Przedstawia je zazwyczaj bardzo pesymistycznie, jako krótkotrwałe związki, oparte wyłącznie na erotycznym pożądaniu. Eksponuje także

motyw zdrady i jej destrukcyjnych konsekwencji (np. zabójstw i samobójstw bohaterów).

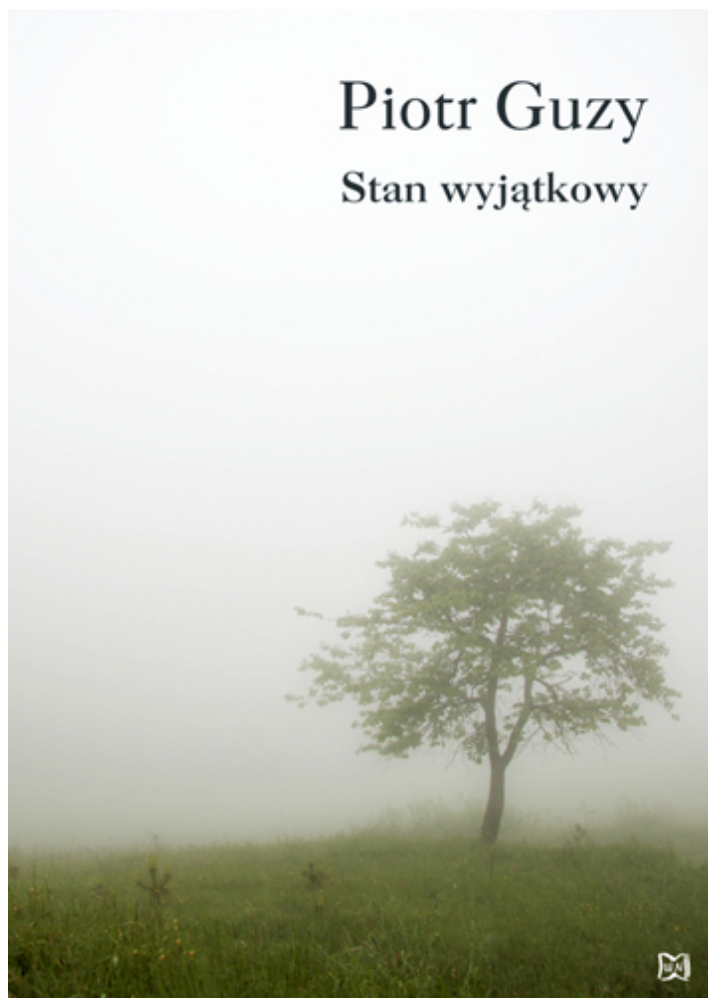
W przedstawionym przez Guzego, skażonym przez zbrodniczą ideologię świecie, w którym relacje międzyludzkie opierają się na strachu, nieufności i kłamstwie, nie ma miejsca na szczęśliwą miłość, czy bezinteresowną przyjaźń. Nikt nie czuje się bezpieczny, ukrywa swoją prawdziwą tożsamość, ponieważ każdy może zdradzić. Polityka władzy komunistycznej jest toksyczna w każdym wymiarze życia.

Piotr Guzy jest także autorem kilku opowiadań, które – jak wspomniałam – ukazywały się na łamach „Zeszytów Literackich” (*Będziesz miłował kata swego ; Że ona jest, że w ogóle jest ; Wstyd ; Odwiedziny u duchów i Ostatnia posługa*). Także w krótkich formach prozatorskich pisarz porusza problem zmagania człowieka z demonami „złej” (wojennej i komunistycznej) przeszłości. W opowiadaniach *Ostatnia posługa* i *Odwiedziny u duchów* bohaterami są polscy emigranci, mieszkający w Hiszpanii, których przypadek stawia przed wyzwaniem zmierzenia się z przeszłością. Bohater *Ostatniej posługi* po wielu latach spotyka człowieka, który, kiedy on był w latach stalinowskich więziony, uwiódł jego żonę i odebrał rodzinę. Budzi się w nim chęć zemsty, postrzega śmierć dawnego kata jako swoiste zadośćuczynienie. W opowiadaniu pojawia się także wątek autotematyczny. Wnuczka bohatera, polonistka i

doktorantka zajmująca się literaturą emigracyjną, gorzko ale i szczerze diagnozuje panoramę pisarzy na obczyźnie, która przeważnie koncentruje się na centralnych i znanych nazwiskach:

Literatura emigracyjna. [...] na razie u nas jest tak, że krytycy i badacze zajmują się czterema czy pięcioma nazwiskami, zawsze tymi samymi, reszta leży odłogiem na święte nigdy, a ja chciałabym w mojej pracy dać szerszą panoramę, wydobyć na wierzch innych pisarzy, a jest ich sporo, i włączyć ich w ogólny obraz naszej literatury (s.44).

Piotr Guzy
Stan wyjątkowy



Piotr Guzy

Zwidy na wysokościach



W opowiadaniu *Odwiedziny u duchów* pisarz mierzy się z trudnym problemem polskiego antysemityzmu. Emigrant odwiedza rodzinną wieś i przypomina mu się niechlubny epizod z przeszłości, którego był świadkiem – grabież pożydowskiego mienia przez współmieszkańców, w tym także jego ojca. Złe uczynki zostają ukarane; sprawiedliwość wymierza przeznaczenie. Zagrabiony majątek staje się przekleństwem dla mieszkańców wsi i ojca bohatera. W opowiadaniu pisarz podejmuje także problem trudnych relacji między synem i ojcem. We wspomnieniach bohatera, surowy dla rodziny, patriarchalny ojciec, korzy się przed niemieckim żołnierzem, co w oczach syna

jest znakiem tchórzostwa, poddania się. Od tego momentu ojciec przestaje być dla niego wzorem.

Literatura staje się również miejscem dokonania osobistego rachunku sumienia. W opowiadaniu *Wstyd* bohater, który jest pisarzem, wspomina dawną, opublikowaną w kraju powieść, *Lot w księżycową noc*. Pod tym tytułem kryje się napisana przez Guzego w okresie socrealizmu książka *Nocny zrzut*. Narrator ma odwagę przyznać się, że publikując ją popełnił błąd:

To była wredna książka..., pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelników utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, mówiła, że inaczej już nie będzie, tylko się z tym pogodzić (s.27).

Rysy autobiograficzne ma także bohater opowiadania *Biedna Lilo*, który jest pisarzem-emigrantem, pochodzącym z Tarnowskich Gór. Tytułowa Lilo nosi w sobie bolesną wojenną przeszłość, która z upływem czasu nie zaciera się w pamięci, a powraca z wielką wyrazistością, zaś wehikułem, uruchamiającym proces wspomniania, mogą być zwykłe zdarzenia, np. widok ognia.

Motyw spowiedzi z życia, wyznania grzechów z przeszłości

pojawia się także w opowiadaniu „*Będziesz miłował kata swego*”! Główny bohater zwierza się przyjacielowi, że po powrocie z emigracji do Polski, został zwerbowany do współpracy przez służbę bezpieczeństwa. Postrzega siebie jako ofiarą reżimu, usprawiedliwia przed samym sobą i przyjacielem. Nie potrafił jednak zerwać współpracy z bezpieką, nie dostrzegał, że kierowała nim także chęć łatwego zysku, a wizja materialnej stabilizacji przesłaniała zło, które wniknęło w jego życie. Wyznanie nie przynosi głównemu bohaterowi ekspiacji, ale, być może, pozwala mu zrozumieć, na czym polegała jego prawdziwa wina. Za swoje niegodne postępowanie zapłaci utratą zaufania przyjaciela i zniszczeniem wieloletniej przyjaźni.

Przedstawione tu uwagi stanowią zaledwie wstęp do szerszego opracowania twórczości Piotra Guzego, który jest autorem o ogromnej woli tworzenia, oferującym czytelnikom dobrą i wartościową prozę. Jej atutami są: wnikliwa wiwisekcja ambiwalentnych zachowań człowieka i słabości jego natury w obliczu konieczności moralnych wyborów, autentyczność w kreowaniu postaci i społeczno-obyczajowo-politycznego tła wydarzeń, uparte powracanie do trudnych dla Polaków tematów stanowiących niejednokrotnie sferę tabu (antysemityzm, komunistyczna działalność), przypomnienie o niechlubnej przeszłości w imię dociekania prawdy i podkreślanie znaczenia uniwersalnych wartościach w życiu człowieka.

Autor ma czytelnikom do opowiedzenia jeszcze wiele interesujących historii. Mam nadzieję, że jego twórczość znajdzie godne miejsce w historii literatury polskiej XX wieku.

[1] Powieść ta ma adaptację teatralną, zatytułowaną *Prowokacja*.

Babcia Lena skacze z Giewontu



Zakopane, Dolne Krupówki, lata dwudzieste XX wieku.

Romuald „Aldek” Roman

Zazwyczaj, gdy poznajemy ludzi w wieku dojrzałym, nie przychodzi nam do głowy, że ci poważni, nobliwi panowie i panie byli w młodości jeszcze bardziej zwariowani niż my, gdy byliśmy w ich wieku. A tak często bywało, a już szczególnie, gdy mamy do czynienia z pokoleniem Woodstocku, czyli niegdysiejszymi

hipisami, teraz będącymi sześćdziesięciolatkami na stanowiskach lub, jeszcze częściej, emerytami, którzy robią wszystko, by nikt ani przez chwilę nie pomyślał, że czterdzieści lat temu palili trawę. A przecież oni tacy byli. Słuchali Jimmy'ego Hendrixa i nie bali się AIDS, bo wtedy go jeszcze nie było. Nie bali się klechów, bo Kościół siedział pod miotłą komuny, więc kochali się na prawo i lewo, i z wyjątkiem podwyższonego przyrostu naturalnego kochanie to nie miało żadnych niepożądanych konsekwencji.

Tak sprawa wygląda z moim pokoleniem. Ale czy na początku XX wieku, trzy pokolenia przede mną, gdy panie nosiły gorsety, a panowie odkryli narty i jeździli z jednym kijkiem, łatwiej im było powstrzymać się od wybryków? Ależ nie! Oni żyli z fantazją co najmniej równą naszej. A wśród tych panów z wąsikami i pań w kapeluszach z piórami trafiały się takie osoby, że gdy po stu latach pra-pra-prawnuki czytają o ich wyczynach, łapią się za głowę. Posłuchajcie, proszę, o mojej pięknej babci Lenie Roman-Dzieduszyckiej.

Mój dziadek, wielki lwowski aktor Władysław Roman, zmarł w 1904 roku, zostawiając młodziutką żonę i dwoje małych dzieci: Mieczka i Janeczkę. Mieczko to mój ojciec, „bohater dziejowy” (przezwiseko nadane mu złośliwie przez teściową), a Janeczka to późniejsza sławna aktorka Janina Romanówna, czyli moja ukochana ciocia Janeczka. Zapłakana wdowa, Lena Roman, to

moja babcia, którą spotkacie też w innych opowiadaniach.

Jest rok 1908. Lena Roman dosłownie staje na głowie, by osiągnąć trzy życiowe cele: znaleźć drugiego męża, najlepiej z tytułem, jakiegoś księcia lub przynajmniej hrabiego, zdobyć pieniądze oraz sławę. Oczywiście najlepiej byłoby osiągnąć wszystkie trzy cele równocześnie, więc Lena dwoi się i troi, i walczy na wszystkich trzech frontach. Najpierw pozbywa się kłopotów z dziećmi, oddając je na wychowanie matce męża, a potem, o ile tylko było to możliwe, wysyłając je do prywatnych szkół.

Gdy to jej się udało, Lena, już wolna jak panienka, próbuje wykorzystać nazwisko i pamięć o mężu i... zostać aktorką. Przyjmują ją na próbę do teatru Fredry (dziś Słowackiego) w Krakowie i dają do grania ogony, role w rodzaju „Panie hrabio, czy można zapodać zupę?”. To jest dla Leny afront, bo skoro jej mąż grał Jaśka w Krakowskiej premierze *Wesela*, to ona żadnych zup nosić nie będzie. Dla niej Ofelie i Julie, a nie jakieś tam kuchenne kocmołuchy. Tymczasem, żeby grać Ofelię, trzeba być Wysocką, Solską, Przybyłko-Potocką albo przynajmniej kochanką dyrektora. A Lena nic. Inne panie albo miały większy talent, albo były pierwsze w kolejce przed drzwiami dyrektorskiej sypialni. Tak więc z pójścia w ślady nieboszczyka męża nic nie wyszło.

Niezrażona Lena walczy więc, by wyrobić sobie nazwisko w literaturze. Próbuje publikować w lwowskiej prasie smutne wiersze miłosne pełne dźwięcznych częstochowskich rymów. Wszyscy wtedy tak pisali, jedni trochę lepiej, jak Asnyk, inni trochę gorzej, jak Konopnicka, styl Leny nie różnił się więc specjalnie od stylu reszty grafomanów i jej wiersze były od czasu do czasu publikowane i zatykały puste miejsca w galicyjskich gazetach.

To jednak nie było to, o co Lenie chodziło. Zawiódł ją teatr, bo w czasie dwóch lat, gdy próbowała grać, tańczyć i śpiewać, nie tylko nie została gwiazdą, lecz jeszcze zdążyła pokłócić się z wieloma ważnymi osobami. Pisanie też odłożyła na bok, obiecując sobie, że jeszcze stworzy kilka powieści i wtedy dopiero da się poznać światu. Tu dodam, że powróciła do tego zamierzenia w latach dwudziestych i jej kilkusetstronicowa powieść *Tajemnica Pałacu Dożów*, pełna duchów i zbrodni, przetrwała do dziś w mojej szufladzie wśród rodzinnych papierów.

Pozostała ostatnia, najważniejsza i najtrudniejsza część planu – znalezienie męża. Początkowo miała nadzieję, że mąż trafi się sam, zwabiony jej urodą i... aurą nieszczęścia. Przekonała się jednak szybko, że o inne niż „biedna zapłakana wdowa” nieszczęście tu chodzi, bowiem zapłakanych wdów z dziećmi, na dodatek bez pieniędzy, potencjalni mężowie unikają jak ognia. O

nie! Na wdowę żaden, nawet najgłupszy baron, nie da się złapać. Nieszczęśliwe piękności, jeśli chcą być ratowane przez rycerzy, muszą stworzyć taką sytuację, że cały świat wie o ich urodzie, a rycerz gotów jest narazić się na niebezpieczeństwo, by zdobyć kochaną. W tym celu musi uratować drżącą dziewczę z paszczy lwa, a jeszcze lepiej smoka, walczyć z czarownicą, a nawet, jeśli trzeba, zamienić się w żabę.

Babcia Lena wymyśliła, że wielu potencjalnych absztyfikantów przyjeżdża do Zakopanego i udaje, że wybiera się w góry. Większość jednak w góry nie idzie, bo ląduje w kawiarni. Siedzą tam, palą, piją koniaczki i... plotkują o górach. Z Krakowa do Zakopanego kilometrów sto. Dojechać łatwo, bo kursuje pociąg. Lena zaprosiła na wakacje, jako przyzwoitkę, swoją siostrę Wandę, po czym wynajęła na dwa letnie miesiące willę w pobliżu sanatorium doktora Chramca.

Polowanie się zaczęło.

Ponętna Lena spacerowała z parasolką po Krupówkach (tak, wtedy Krupówki również nazywały się Krupówki), piła w kawiarniach kawusie i gorącą czekoladę, słuchała koncertów, poznawała pensjonariuszy i letników, lecz żaden poważny kandydat na męża się nie trafiał. Ot, jakiś tam skrzypek, jakiś urzędnik gubernialny, kupiec z Warszawy. Ale przecież nie o to chodzi! Lena szukała grubej ryby, a nie płotek. Od czego jednak

miała twórczy rozum? Choć starannie ukryty pod wielkim kapeluszem i piękną fryzurą, działał sprawnie i zdolny był wygenerować pomysły godne Machiavellego. Lena postanowiła zrobić z siebie ofiarę: zginąć tragicznie w górach. Właśnie teraz, gdy jest piękna, utalentowana, pełna życia... Ale zginąć tak, by wstrząsnęło to Zakopanem: skoczyć z Giewontu! Teraz oddam głos prasie krakowskiej z początków sierpnia 1908 roku:

Z kraju

Tragiczna śmierć artystki w Zakopanem

Z Zakopanego otrzymujemy dzisiaj wstrząsającą wiadomość, która i w Krakowie niewątpliwie wywrze przygnębiające wrażenie, ze względu na osoby tragedyi, dobrze znane w artystycznych kołach naszego miasta.

Oto przed paroma dniami r u n ę ł a w p r z e p a ś ć z Giewontu, z a b i j a j ą c s i ę n a m i e j s c u, artystka teatru miejskiego we Lwowie, wdowa po znakomitym artyście ś.p. Władysławie Romanie. — Towarzyszący jej na tej nieszczęsnej wycieczce znany muzyk i kompozytor Robert Poselt, chcąc ratować p. Romanową, sam także spadł w przepaść i odniósł liczne, ciężkie obrażenia na całym ciele.

Szczegóły katastrofy przedstawiają się w następujący sposób: Między kuracyuszami i letnikami, bawiącymi obecnie w Zakopanem, przebywała także p. Lena Romanowa z siostrą swą Wandą. Obydwie siostry wybrały się przed paru dniami w towarzystwie p. Romana Poselta na wycieczkę na szczyt Giewontu. Skutkiem nieostrożności p. Romanowej, która, jakby z rozmysłem wybierała najniebezpieczniejsze urwiska na skale, usunęła się jej w jednym miejscu ziemia z pod stóp, a młoda kobieta w jednej chwili zniknęła w przepaści, znajdując straszną śmierć, szarpana i rozbijana o ostre złomy skał. Towarzysz nieszczęsnej, p. Poselt, chcąc ją ratować, także runął w przepaść i cudem tylko ocalał od śmierci, doznał jednak tak ciężkich obrażeń na całym ciele, iż nieprzytomnego przewieziono go do Zakopanego, gdzie u łóża jego zgromadzili się natychmiast lekarze. — P. Poselt oprócz wielu innych ran doznał z ł a m a n i a s z c z ę k i.

Siostra ś. p. Romanowej, Wanda, ocalała, gdyż w chwili runięcia w przepaść obojga znajdowała się o kilka kroków dalej.

Poselt zamierzał dać w Zakopanem w tych dniach koncert, zdaje się jednak, że o ile znakomitemu skrzypkowi nie grozi zupełne kalectwo, dłuższy czas nie będzie mógł oddawać się swej sztuce.

O ś.p. Romanowej opowiadają, że stosunki teatralne, oraz zwątpienie w swój talent, popchnęły ją do rozpaczliwego kroku,

bo od dłuższego już czasu planowała tę straszną wycieczkę – napomykając o swej bliskiej śmierci i.t.p.

Miarodajne czynniki Zakopanego starały się okropny ten wypadek utrzymać w tajemnicy, by nie szerzyć popłochu wśród gości zakopiańskich, tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała i obecnie cały ogół kuracuszów i letników do głębi przejęty katastrofą, ma ją niemal za jedyny temat rozmów i opowiadań.

Lena dopięła swego! Wiadomość o jej śmierci została powtórzona przez prasę lwowską, a nawet wiedeńską! Po czym, parę dni później, sensacja:

Śmierć na Giewoncie?

Przyczynek do dziejów mistyfikacji

—

(Od naszego korespondenta).

*Zako
pane, 18 sierpnia*

Dzienniki krakowskie, które tu nadeszły dziś rano z wiadomościami o „ś m i e r c i n a G i e w o n c i e”, wywołały

zupełnie zrozumiałe poruszenie. Donosiły bowiem o zabiciu się pani Leny Romanowej, artystki teatru lwowskiego, wdowy po nieodżałowanej pamięci ś. p. Władysławie Romanie i poważnem kalectwie artysty-skrzypka p. Poselta. Oboje mieli spaść podczas wycieczki z Giewontu. Dzienniki przechodziły z rąk do rąk, w kawiarniach i pensyonatach, fakt ten stanowił główny temat rozmów licznych, bawiących tu letników i kuracuszów. Z obowiązku poszedłem na miasto, aby zasięgnąć bliższych informacji.

Wpadam najpierw do wszystkowiedzącego p. Płonki. Przeczytawszy informacje dzienników, zawołał:

- Panie, to wszystko nieprawda! P. Poselt mieszka u mnie, jadł przed chwilą śniadanie i jest zdrowiutki jak ryba.

- A może przecież coś się stało?

- Zupełnie nic. Przecież w moim domu mieści się „klimatyka”, setki gości przewija się przez mój lokal, wiedziałbym więc coś o tym, gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Wiem tylko tyle, że p. Poselt spadł przed dwoma tygodniami z roweru i potłukł się trochę, ale jest już obecnie zupełnie zdrowy. Niech pan przejdzie zresztą do p. Poselta, mieszka u mnie na pierwszym piętrze pod nr 4.

[Zatarty fragment].

Przez Marszałkowską udałem się na Chramcówki. W pobliżu zakładu dra Chramca, vis -a-vis willi „Czarny Staw”, stoi mała, niepozorna willa „Kosówka”. Tę willę dzierżawi pani Lena Romanowa.

Wchodzę i zastaję tam jednego z młodych literatów krakowskich, który natychmiast przypada do mnie i zapytuje, kto mógł tak poważne dzienniki jak „Słowo Polskie” i „N. Reformę” ubrać w fałszywą informację. W odpowiedzi wzruszam ramionami, gdy wchodzi młoda, smukła, bardzo przystojna kobieta, której, jako pani Michalinie Romanowej, przedstawia mnie mój interlokutor.

Pani Romanowa jest w najwyższym stopniu znękana zaszłą mistyfikacją, o której na pół godziny przed moim przybyciem się dowiedziała.

– Kto to mógł zrobić? Kto pozwolił sobie na tak złośliwy żart? Jestem ośmieszoną. Nie będę mogła się teraz nigdzie pokazać.

Uspokajam jak mogę, p. Romanowa nie może jednak przyjść do siebie. Ciągłe powtarza: „Kto to mógł zrobić?”. Na moją uwagę, że ktoś, komu zależało na puszczeniu w świat tej nieprawdy, musiał w liście podpisać kogoś wybitnego, inaczejby redakcja nie uwierzyła informacyi – stoi bezradna, nie wie, co o tym

myśleć.

W tej chwili wchodzi panna Wanda, siostra p. Romanowej, która podczas rzekomego wypadku na Giewoncie jedyna ocaleć miała, i przynosi dzienniki, po które siostra ją posłała. Pani Romanowa jest jednak tak zdenerwowana, że nawet odczytać artykułu nie mogła.

Należałoby zdemaskować autora tego złośliwego i głupiego żartu.

Z.R.

Nikogo jednak nie zdemaskowano, a Lena, mimo genialnego pomysłu, by zwrócić na siebie uwagę, wróciła z pobytu pod Tatrami bez męża.

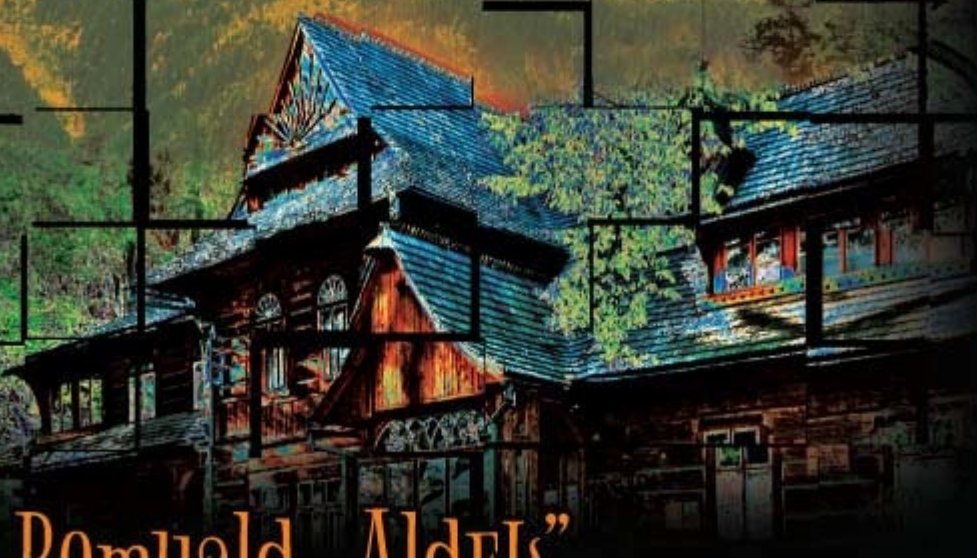
Wspomniałem już jednak, że babcia nigdy się nie poddawała. Kiedy zrozumiała, że ani jako aktorka, ani taterniczka furory nie zrobi, kupiła sobie kino, jedno z pierwszych we Lwowie, a potem drugie, i miała tyle koron w kieszeni, że nie wyjeżdżała do

Zakopanego i Krynicy, tylko na Riwierę, do Dalmacji, do Wenecji. I tam wreszcie spotkała podstarzałego hrabiego i została hrabiną. Na to nigdy nie jest za późno, trzeba tylko się starać, jak moja babcia Lena.

*Kolejny fragment książki „Zakopiański Dom Wariatów” we
wtorek, 11 października 2016 r.*

Zakopiański dom wariatów

Zakopiański dom wariatów



Romuald „Aldek”
Roman

WYDAWNICTWO
ANNAPURNA

Romuald „Aldk” Roman od 1984 roku razem z rodziną żyje w USA. Obecnie wraz z żoną Jolą mieszka w historycznej miejscowości Chestnut Hill pod Filadelfią, gdzie wielu bogatych fabrykantów budowało swoje wielkie gotyckie domy i rezydencje w stylu tudoriańskim. Silverstone Bed & Breakfast należący do Joli i Aldka mieści się w pięknej wiktoriańsko-gotyckiej posiadłości zbudowanej w 1877 roku dla rodziny Jenks, właścicieli kilku fabryk w Filadelfii. Dom zaprojektował znany architekt Theophilus Chandler, który założył szkołę architektury na Uniwersytecie Pensylwania.

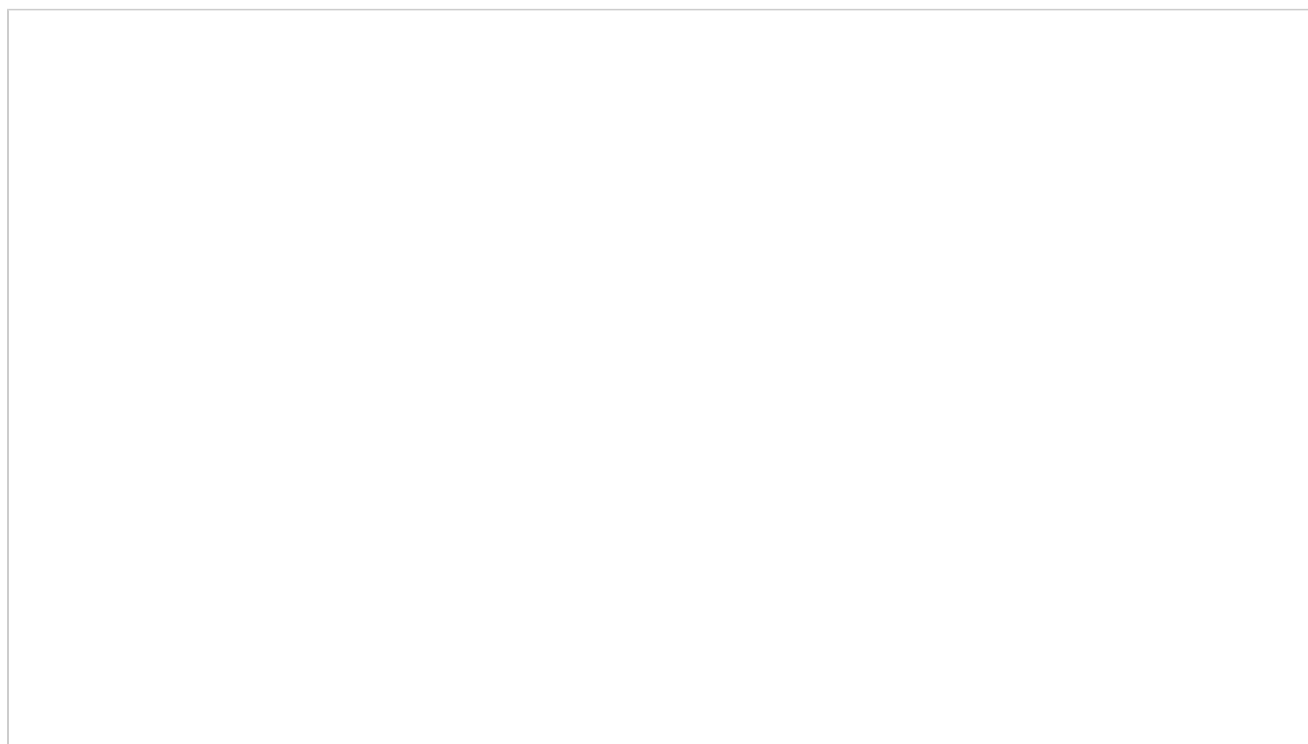
Rezydencja, do budowy której wykorzystano tutejszy kamień z doliny potoku Wissahickon, o mieniącym się w słońcu srebrzystym odcieniu, usytuowana na wzgórzu, otoczona lasem i strumieniami, wygląda imponująco. Pobliska Zielona Dolina (Valley Green) jest jednym z największych parków naturalnych w Stanach Zjednoczonych.

W domu Romanów czuć Polskę i teatralną historię rodzinną. W jadalni wisi portret słynnej przedwojennej aktorki i śpiewaczki, po wojnie aktorki Teatru Polskiego w Warszawie, Janiny Romanówny, starszej siostry ojca Aldka Romana. – *Przypomina mi się jej warszawskie mieszkanie, nasze coroczne wizyty i morały cioci Janki* – opowiada Jola Roman. – *Bardzo ją lubiłam, była symbolem odchodzącego świata, manier i kultury. W życiu mówiła tak, jakby była na scenie. Jej mąż Mieczysław*

Mierzejewski, dyrygent i wielbiciel aforyzmów, które cytował przy każdej okazji, zawsze był ubrany w garnitur i białą koszulę z krawatem. Ciocia Janka zmarła w wieku 87 lat, ale w mojej pamięci pozostanie piękną, zawsze umalowaną starszą panią, w biżuterii.

W takich podfiladelfijskich warunkach powstała najnowsza książka Romualda „Aldka” Romana, błyskotliwie napisana i pełna humoru historia Zakopanego lat 50-tych i 60-tych. Zdobyła ona nagrodę czytelników w konkursie na „Najlepszą książkę na zimę 2015” w kategorii „Perły z lamusa”. Ten sam portal uznał „Zakopiański dom wariatów” za jedną z Najlepszych Książek Roku 2015.

Joanna Sokołowska-Gwizdka





Jola i Aldek Romanowie

Romuald „Aldek” Roman

Zakopiański dom wariatów

Książka ta jest dużej mierze fikcją, prawdziwe wydarzenia zostały poprzecinane z powodu zaników pamięci i fantazji pisarskiej autora. Obok znanych nazwisk osób tworzących Zakopane lat siedemdziesiątych przewija się w niej wiele wymyślonych postaci. Jeśli osoba, nazwisko czy sytuacja opisana przeze mnie przypomina komuś kogoś, kto w tamtych czasach mieszkał w Zakopanem, nie biorę za to odpowiedzialności.

Proszę nie powoływać się na tę książkę w poważnych artykułach, opracowaniach historycznych, a już szczególnie w pracach doktorskich, bo na pewno się nie obronią.

Zamiast wstępu

Penn patrzy na Giewont

Na wieży filadelfijskiego ratusza, sto sześćdziesiąt metrów nad dachami Filadelfii, stoi jedenastometrowy posąg z brązu przedstawiający założyciela Pensylwanii Wiliama Penna. Twórca posągów pstrzących monstrualne centrum biurokracji miasta wymyślił sobie, że mesjasz kwaków będzie patrzył ze swojej wieży w kierunku Penn's Landing. Tymczasem, gdy w 1901 roku stawiano ten czternastotonowy pomnik, zamiast twarzą na południe, ustawiono go twarzą na północny wschód. I Wiliam Penn spogląda z Filadelfii tam, gdzie za morzem, za górami są Zakopane i Giewont.

Ja też co jakiś czas tam popatruję i choć niby zrosłem się Ameryką, to co chwila coś sobie przypominam, coś, co we mnie siedzi, coś, co przeżyłem pod Giewontem. I tak żyję, i tak piszę.

*Romuald „Aldek” Roman, Zakopiański Dom Wariatów, wyd.
Annapurna, Warszawa 2015 r.*

**Fragmenty książki ukazały się na stronie w kolejne dwa
wtorki.**

Romuald „Aldek” Roman urodził się w 1949 roku w Nowym Sączu. Jest wnukiem znanego lwowskiego aktora teatralnego Władysława Romana i bratankiem słynnej polskiej aktorki teatralnej i filmowej Janiny Romanówny. W 1971 roku ukończył Wydział Leśny Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, a po wyjeździe do USA Temple University w Filadelfii. Ma wiele talentów i zainteresowań. Taternik, leśnik, nauczyciel, narciarz, menedżer w Environmental Protection Agency, gdzie był ekspertem stosowanej toksykologii przemysłowej, konsultant ONZ w Polsce i w Rumunii. Współpracował przy projekcie oczyszczenia Wyspy Neville Island, która była wcześniej śmietniskiem przemysłowych zakładów Pittsburgha. Pisze

krótkie szkice literackie, opowiadania i eseje – pełne dowcipu i dystansu wspomnienia z Polski, w tym z okresu zakopiańskiego oraz osobiste wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych. (*Na podst. Wikipedii*).

Inspiracja australijskim buszem w kolażach Anny Fiali



Anna Fiala

Anna Fiala ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Najpierw zajmowała się tkactwem artystycznym, następnie przez wiele lat malowała olejami martwe natury, pejzaże, ciekawe formacje chmur itp. Jednak prawdziwą pasję znalazła w fotografowaniu przyrody. Australijski busz dostarcza jej niekończących się inspiracji i emocji w odkrywaniu specyficznej atmosfery, nasyconej wielowiekowym istnieniem i zmianami tam zachodzącymi. Unikalne światło Australii odgrywa tu także swoją rolę – jest wielkim pomocnikiem artysty. Anna nie tylko fotografuje pejzaże leśne, ale ma szczególne oko do detali utrwalonych na korze starych drzew, w układzie światła, zależnym od sezonu, pogody lub pory dnia. Fotografuje leśne obrazy, które do niej przemawiają w szczególny i unikalny

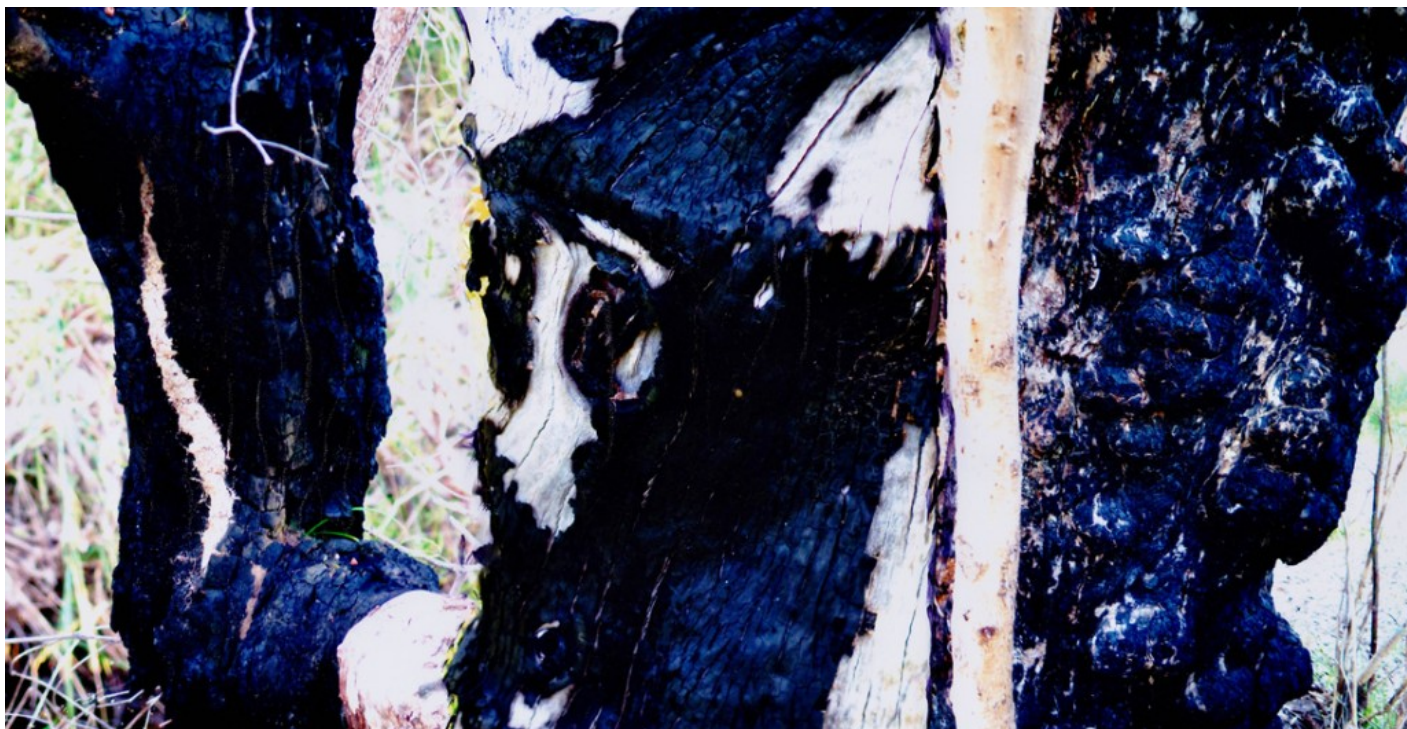
sposób. Pokazuje realistyczne obrazki australijskiej przyrody i ukrytą w nich abstrakcję.

Galeria









Przekazywanie pałeczki



Ewa Pobłocka, fot. Wojciech Grzędziński/NIFC

Rozmowa z członkiniami Multi Trio, Ewą Pobłocką (fortepian), Ewą Leszczyńską (śpiew, fortepian) i Marią Leszczyńską (wiolonczela, fortepian).

Bożena U. Zaremba: Będąc jeszcze 12-letnią uczennicą szkoły muzycznej zaczęła Pani akompaniować swojej Mamie, śpiewaczce. Teraz koncertuje Pani ze swoimi dwoma córkami. Czy jest jakaś różnica?

Ewa Pobłocka: Zdecydowana różnica, bo ja mojej mamy słuchałam, a moje dzieci dyskutują ze mną na każdy temat.

BUZ: Czyli jest trudniej?

EP: Oczywiście. Różnica pokoleniowa jest gigantyczna. Ja byłam w domu przyzwyczajona do tego, że to, co rodzice mówili jest święte. W ten sam sposób starałam się wychowywać moje dzieci, ale one zawsze próbują mieć własne zdanie. Ale ta współpraca przynosi mi dużo satysfakcji. Chciałam podkreślić, że nie występuję z córkami, dlatego że to moje córki, ale dlatego, że obie są bardzo wrażliwymi muzykami. Są dociekliwe i ciekawe świata i muzyki. Nie traktują grania czy śpiewania, jako zawodu, ale robią to z pasją. W takie osoby warto inwestować czas.

BUZ: Więc jest Pan zadowolona, że córki wybrały zawód muzyka?

EP: Powiem tak, że jako muzyk, na pewno tak, natomiast, jako kobieta, nie jestem pewna, ponieważ tylko ja wiem, jak wyglądało moje życie z drugiej strony estrady. W obecnych czasach szczególnie jest to trudne, bo wszystko trzeba szybciej – decydować szybciej, dolatywać na koncerty szybciej, nawet grać szybciej [śmiech]. Ja mogłam sobie pozwolić na to, żeby usiąść i patrzeć w szybę, jak pada deszcz, a obecne pokolenie tego czasu już sobie nie daje.

BUZ: Jak Pani łączyła karierę z wychowywaniem dzieci?

EP: To były takie próby z doskoku – wysiadałam z samolotu i już zaczynałam je wychowywać, bo wydawało mi się, że powinnam nadrobić czas, kiedy mnie nie było. To oczywiście się nie sprawdza, bo trzeba być regularnie, trzeba mieć czas na rozmowy, na wysłuchanie. W tym zawodzie musi się wybierać – albo więcej poćwiczyć, albo porozmawiam z dziećmi.

BUZ: Czy było też miejsce na rozbudzanie zainteresowań pozamuzycznych?

EP: Szczerze mówiąc w naszym domu nie było na to czasu, ponieważ wszyscy jesteśmy muzykami i całe życie kręci się wokół muzyki, jeżeli nieuprawianej przez nas aktywnie, to wokół życia koncertowego, którego organizatorem od wielu lat jest mój mąż, życia operowego, filharmonicznego, czy festiwalowego. Z drugiej strony moja kariera teraz wygląda trochę inaczej niż powiedzmy 15 lat temu, i daję sobie więcej czasu, żeby na przykład zatrzymać się w muzeum na dłużej, a nie tylko wpaść i zaliczyć.

BUZ: Jak doszło do tego, że z okazji tego tournée zostały napisane specjalnie dla Pań utwory Mikołaja Góreckiego i Roxanny Panufnik?

EP: Nasze trio jest dość nietypowe, raz, że nigdy nie było takiego przypadku, żeby matka taszczyła swoje dwie córki na scenę [śmiech], ale też ze względu na skład: fortepian, sopran i

wiolonczela. Kiedy kilka lat temu powstawał nasz zespół, miałyśmy problem z repertuarem, bo właściwie nie było, co grać. Zdobyłyśmy jeden czy dwa utwory XIX wieczne, potem ktoś przerobił pieśni Szuberta, ale to wszystko był ersatz. W pewnym momencie stwierdziłam, że trzeba kogoś poprosić o napisanie utworu specjalnie dla nas. Na Mikołaja Góreckiego padł wybór z tego względu, że słyszałam niejednego jego utwór i bardzo lubię jego muzykę. To była taka instynktowna decyzja. Spotkałam się z nim i opowiedziałam mu, co potrafimy i co sobą reprezentujemy. Też, jakie jesteśmy – no, bo każda z nas jest przecież inną osobowością. Z Roxanną Panufnik też wyszło jakoś automatycznie, ponieważ kiedyś grałam utwory jej ojca. Okazało się, że ma gotowy cykl utworów do słów Szekspira, który napisała dla pewnego tenora angielskiego. I zaadoptowała go na nasze potrzeby. Prapremiera będzie miała miejsce w pałacu w Radziejowicach za kilka dni w Polsce, ale podczas naszego tournée odbędzie się amerykańska premiera.

BUZ: Mikołaj Górecki jest synem wspaniałego kompozytora Henryka Góreckiego, Roxanna Panufnik, córką innego znakomitego kompozytora Andrzeja Panufnika. Teraz Pani przekazuje pałeczkę swoim córkom.

EP: Też właśnie dzisiaj pomyślałam o tych powiązaniach, nie tylko zresztą rodzinnych, ale i osobistych. Myślę, że na koncercie to wszystko jakoś zagra, bo te sprawy, które trudno nazwać jest

słowem odzywają się w emocjach podczas grania.

BUZ: Program składa się z samych utworów polskich kompozytorów i widać w nim wyraźnie głębię polskiej muzyki poważnej.

EP: Tak, oczywiście mamy bogaty repertuar pieśniarski, i solowy, i kameralny. Ciekawa rzecz, że przedstawiłam [organizatorom tournée] dwie opcje programowe, drugą z muzyką nie tylko polską, ale międzynarodową i wszyscy wybrali program polski. Ale myślę, że będziemy stale poszerzały nasz repertuar, bo to są bardzo miłe koncerty, chociaż trudne, przynajmniej dla mnie. Największym problemem jest, że w garderobie jest tylko jedno lustro, no a przecież wszystkie chcemy być piękne [*śmiech*]. Ale mówiąc poważnie pamiętam reakcje publiczności podczas moich koncertów z moją mamą, i te dodatkowe emocje. Publiczność znakomicie to odbiera.



Ewa Leszczyńska, fot. Maciej Grzybowski.

BUZ: A jak Pani odbiera współpracę z członkami rodziny?

Ewa Leszczyńska: Jest to na pewno dużo bardziej stresujące i wymagające. Trzeba bardziej uważać, co się mówi i jak się mówi. Poza tym jest ten dodatkowy bagaż – gramy z mamą, która jest niesamowicie doświadczonym muzykiem, ma za sobą mnóstwo koncertów i współpracę z wielkimi muzykami. Tym bardziej trudno zaproponować coś własnego. Jest w tym wszystkim trochę przekory wynikającej z relacji typu matka-córka i starsza-młodsza siostra. [Marysia] jest bardzo utalentowaną młodą osobą i gra na prawdę przepięknie, ale ma bardzo mocną osobowość, podobną do mamy. Ja w tym trio jestem osobą

łagodzącą konflikty. Ale najpiękniejsze jest to, że w momencie jak wychodzimy na scenę, te spięcia znikają i coś niewypowiedzianego nas łączy. Dla tych chwil zdecydowanie warto się pomęczyć na próbach.

BUZ: Czy mama jest nadal dla Pani największym autorytetem muzycznym?

EL: Mama jest przede wszystkim mamą. Jestem oczywiście świadoma tego, czego dokonała, jakie ma niesamowite doświadczenie muzyczne i, jakie sukcesy odniosła, ale przede wszystkim to jest moja mama.

BUZ: Dlaczego postanowiła Pani być śpiewaczką, a nie tylko jak mama pianistką?

EL: Może właśnie, dlatego, że mama jest pianistką [*śmiech*]. Na początku nie miałam specjalnie wyboru, po prostu zaczęłam grać na fortepian. A śpiew był faktycznie moim wyborem. Chyba tego właśnie mi było potrzeba, jakiejs własnej decyzji.

BUZ: Jakiego typu wokalistyka Panią interesuje – pieśni, opera, czy śpiewanie chóralne?

EL: Interesuje mnie możliwość śpiewania w różnych formacjach i różnego typu muzyki, chociaż może barok jest moim ulubionym

okresem w muzyce poważnej. Nie chcę się zasufladkować i ograniczyć do jednej formy. Faktem jest, że do tej pory przeważało pieśniarstwo, ale jestem właśnie po moim pierwszym poważnym debiucie operowym, w „Semiramidericonosciuta” Leonardo Vinciego, operze, która nie była wykonywana od 300 lat.

BUZ: Jacy śpiewacy czy śpiewaczki wywarły na Panią największy wpływ?

EL: Zawsze chętnie słuchałam Jessie Norman, Cecylii Bartoli, bardzo lubię obecnie śpiewającą Dorotheę Miels, która obraca się głównie w muzyce barokowej. Ale w sumie bardziej brałam przykład od instrumentalistów, szczególnie pianistów, takich jak DangThai Song, Maria JoãoPires, Nelson Freire, czy Martha Argerich.

BUZ: Co Pani z nich czerpie?

EL: Głównie prowadzenie frazy. I coś, co nazwałabym ponad-instrumentalnym traktowaniem instrumentu.

BUZ: Co Pani ceni w pieśniach Chopina? Istnieje opinia, że nie są one proste do śpiewania...

EL: To prawda, bo uważa się, że są łatwe w sensie wyrazu, ale to

jest pozorne. Zwłaszcza w obecnym świecie, to, co proste jest najtrudniejsze. Utrzymanie wtedy ciekawości publiczności jest bardzo skomplikowaną sprawą i wymaga szczególnych chęci, i od strony śpiewaka, i od strony słuchacza, ponieważ nie jest to spektakularna, wirtuozowska muzyka. Dotyczy to zarówno samego śpiewu, jak i akompaniamentu. Jest tu także duże pole do popisu, jeżeli chodzi o grę słów. Wydobycie tekstu pozornie banalnego wymaga dużo chęci i... miłości.



Maria Leszczyńska, fot. Maciej Grzybowski.

BUZ: Czy dla Pani granie z członkami rodziny jest równie trudne, jak dla mamy i siostry?

Maria Leszczyńska: Z jednej strony jest łatwiej, bo lepiej się znamy, ale te relacje często przeszkadzają, bo człowiek czasem się za bardzo unosi. Grając z obcymi, nawet bliskimi przyjaciółmi, łatwiej jest zachować dystans.

BUZ: Czy udało się Pani kiedyś przekonać swoją mamę do własnej wizji muzycznej?

ML: Za każdym razem próbuję to robić [*śmiech*]. Tak, czasami się udaje. Ja podobnie jak mama, zawsze chcę, żeby stanęło na moim. Ale najważniejsze jest to, że wszystkie jesteśmy otwarte na sugestie innych i staramy się, żeby wszystkim grało się dobrze.

BUZ: Jak doszło do tego, że wybrała Pani wiolonczelę, jako główny instrument?

ML: Zaczęło się od fortepianu, no, bo to jest taka podstawa. Jak byłam mała chciałam grać na skrzypcach. Do wiolonczeli przekonała mnie siostra. I pokochałam ten instrument.

BUZ: Jacy wiolonczeliści mają na Panią największy wpływ?

ML: Największym przykładem jest mój profesor Marcin Zdunik, i profesor Andrzej Bauer których bardzo cenię i szalenie mnie inspirują. A jeżeli chodzi o muzyków światowych to Gautier

Capuçon i Jacqueline duPré, której niestety już nie ma, ale to, co po niej pozostało jest rzeczywiście niesamowite.

BUZ: Czy myślała Pani o innym zawodzie?

ML: Oczywiście. Kiedy miałam wybierać gimnazjum to chciałam iść do gimnazjum plastycznego i rodzice dali mi wolną rękę, ale w końcu stanęło na muzyce, od której trudno mi było odejść.

BUZ: Czy słucha Pani innej muzyki niż poważnej?

ML: Tak, mimo, że wychowana byłam na słuchaniu muzyki poważnej. Często, jak mam jakiś występ czy konkurs, to puszczam sobie utwory muzyki popularnej, która działa odstresująco.

BUZ: Jakie jest Pani podejście do utworów specjalnie napisanych na Wasze trio?

ML: To jest dla mnie oczywiście nowe doświadczenie, bo nigdy nie grałam utworów specjalnie dla nas napisanych. Fantastyczne jest takie wchodzenie w utwór, który jeszcze nigdy nie był wykonywany. Zawsze się uczyłam utworów, które ktoś kiedyś już grał, do których można się odnieść poprzez nagrania, czy to, co mówią inni, a my stwarzamy w pewnym sensie bazę, na której inni się będą wzorowali albo, do której będą się odnosili.

BUZ: Jest teraz Pani w klasie maturalnej. Co dalej? Akademia Muzyczna?

ML: Oczywiście – studia muzyczne. Zastanawiam się jeszcze, gdzie. Wiele osób mnie namawia, żeby wyjechać [studiować] za granicę. Może to kiedyś nastąpi, ale muszę zacząć od miejsca, w którym jestem, w którym się wychowałam, potem zobaczymy.

BUZ: Czy myśli Pani o karierze solistycznej?

ML: Bardzo bym chciała. Uwielbiam być na scenie. Zawsze marzyłam, żeby zagrać z orkiestrą symfoniczną, uklonić się, usiąść i zagrać cały koncert na wiolonczelę. To musi być niesamowite uczucie.

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta w związku z koncertem artystek 9 października, 2016 w Atlancie. Więcej informacji na stronie: www.chopinatlanta.org.



Multi Trio, fot. Maciej Grzybowski.



Multi Trio, fot. Maciej Grzybowski.

Trasa koncertowa Multi Trio:

7.10 – Chicago

9.10 – Atlanta

12.10 – Waszyngton

16.10 – Los Angeles

18.10 – Nowy Jork

Wywiad w wersji angielskiej ukazał się na stronie Chopin Society of Atlanta:

<http://chopinatlanta.org/interviews/MultiTrio.html>

Ostatni Latyn: Zygmunt Kubiak (1929-2004)



Zygmunt Kubiak, Warszawa 1998, fot. Elżbieta Lempp.

Florian Śmieja

Pamiętam przedwojenny podręcznik gimnazjalny do nauki łaciny i jego motto „Disce puer latine”. Nie były to jednak czasy króla Stefana Batorego, który obiecywał nagrodzić godnościami tych, którzy łacinę opanują, niemniej przeto język Rzymian był w poszanowaniu, a jego mistrzowie stanowili zdumiewającą gromadkę lojalnych miłośników antyku pragnących nie tylko nauczyć języka Cyserona, ale także kultu wielkiej śródziemnomorskiej cywilizacji.

To dzięki przykładowi mojego profesora łaciny w wojskowym gimnazjum w Szkocji ośmieliłem się przekładać Wergilego polskim heksametrem, by później wręczyć moją wersję IV Bukoliki, mesjanistycznej, wielkiemu piewcy antyku, Janowi Parandowskiemu na stopniach British Museum, kiedy mu pozwolono pojechać na zjazd PEN Clubów do Londynu.

Podziwiałem niektórych księży znakomicie posługujących się łaciną, przyklaskiwałem Watykanowi przemyślnie kreującemu łacińskie słowa na „motocykl”, kiedy masowo odwiedzili Ojca św motocykliści.

Po zaledwie roku greki i lekturze o młodym Cyrusie musiałem zadowolić się przekładami greckiej literatury na polski. Tymczasem te tłumaczenia wcale nie były błahe: do dziś

poważam piękne teksty, które ukazały się na emigracji w Londynie, a więc „Iliadę” Homera w roku 1961 i „Eneidę” Wergilego w 1971 przełożone przez Ignacego Wieniewskiego. Stoją nadal na moich półkach. Zaglądam też do wydanego przez Veritas w Londynie w 1957 roku przekładu „Odysei” Józefa Wittlina. Ta trzecia wersja pokazuje upór tłumacza, by stworzyć wersję ostateczną. Już wówczas Wittlin ostrzegał:

“Mimo że wypadło nam żyć w epoce telewizji zabijającej wyobraźnię, czy tylko ograniczającej jej pracę, musimy posiłkować się starodawną magią słów, pisanych i drukowanych, gdy chcemy czytelnika wprowadzić w losy Telemacha, a nawet wzruszyć tymi losami. Telemachia czy Telewizja”.

Tymczasem Kościół Katolicki zarzucił używanie łaciny, nawet przemocą rugował ją z lubianej liturgii. W szkołach przestano jej uczyć, tak że dziś przedmiot to arcyrzadki.

Z jej zmierzchem oddaliła się nieco kultura antyczna. Musi ona obecnie prosić o wsparcie języki nowożytnie. I tak mitologia, literatura czy historia starożytnych Greków i Rzymian stara się nas oczarować w obcej dla siebie szacie. Na szczęście zdarzają się takie cuda dzięki pietyzmowi tłumaczy i pośredników. W Polsce ich czołowym reprezentantem był Zygmunt Kubiak.

Jego nazwisko zadźwięczało w moim uchu po raz pierwszy bardzo dawno temu bo w 1957 roku. Wtedy to pismo nasze „Merkuriusz Polski” wydawane przez młodych w Londynie ogłosiło konkurs dla dobrze zapowiadających się młodych krytyków, a światłe jury pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego wybrało laureatami Mariana Pankowskiego z emigracji, a z kraju Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego oraz Zygmunta Kubiaka. Tego ostatniego miałem poznać dopiero kilka lat temu we Wrocławiu, kiedy odbierał nagrodę „Odry”. Z miejsca mi wyrecytował mój wiersz poświęcony Markowi Aureliuszowi wprowadzając mnie w niemałe zdumienie.

Wybitny tłumacz Wergilego, liryki łacińskiej, „Wyznań” św. Augustyna oraz nowogreckiego poety Kawafisa, zaskoczył sceptyków ogromnym powodzeniem swoich książek „Mitologia Greków i Rzymian”, „Literatura Greków i Rzymian” oraz „Dzieje Greków i Rzymian” i z czasem obsypany został nagrodami i wyróżnieniami.

W 1995 roku przywiozłem sobie z Polski jego „Brewiarz Europejczyka”, zbiór esejów napisanych dla pokrzepienia bratnich duchów. Napisał on wtedy:

“Muszę uznać, że żyję w okresie, kiedy nie mogę dać jakichkolwiek rad, mogę tylko, w całej szczerości, mówić o

tym, co osobiście wybrałem; może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczailem się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego”.

Niemniej przeto sugerował zwrot ku starożytności.

“Bogactwo kultury rzymskiej odsłania przede mną podstawy życia społecznego i organizacji państwowej, obiektywne stosunki między ludźmi, a jednocześnie ostrzega mnie i broni przed wszelkimi iluzjami totalitarnymi”. Nic dziwnego, że za taką postawę w jednej z gazet nazwano go „Latynem nad Wisłą”.

Kubiak należał do grupy tych pisarzy, którzy pamiętają przeszłość. Ciężko doświadczony w czasach PRL-u zganił apologetów tej formacji utrzymując, że proces stwarzania fikcyjnej przeszłości nadal rozwija się i narasta. Drukowany w czasie przedgomułkowskiej luki w cenzurze esej „Natura i obłęd” pojawił się w książce w towarzystwie działu „Z przeszłości” i „W piwnicy niewoli tchnienie wolności w kulturze”. Autor nakreślił w nim delikatny obraz powściągliwego i ostrożnego Jerzego Turowicza. Kubiak dodaje:

„A pod tą łagodnością była stal dawnych rycerzy i hetmanów. Zupełna niezłomność. I absolutna prawość, szlachetność. Nie spotkałem nikogo, kto byłby tak twardy, jak ten łagodny człowiek, który nigdy nie podnosił głosu”.

Konkluduje wskazując na odepchnięcie przez Turowicza zarówno obskurnej lewicy jak też obskurnej prawicy.

„Strefa Jerzego została i już w Polsce zostanie. Cierpi się nadal, ale można przynajmniej w głębi swojej duszy spokojnie zignorować dwoisty terror dwóch odłamów kretynów: tych od rdzennych Polaków i tych od laickiej postępowości. Można spokojnie zmierzać – choćby to była jeszcze długa i bardzo trudna droga ku Polsce obywatelskiej”.

W “Zapiskach z wędrówki” wspominając dzieciństwo nie zapomina o gorzkim smaku, jak powiada, brzemienia dojrzałości, tej ważnej zmiany w dziedzinie odpowiedzialności. Sugeruje nam, byśmy się od razu ustawili na taki świat niedoskonały, z zadrą, by

“...w takim świecie chłodno, z dużą dozą obojętności wobec

spraw drugorzędnych, prestiżowych, psychologicznych, która komuś może wydać się nawet oschła, pilnować interesów istot, dla których możemy coś uczynić”. Taką postawę nazywa szkołą mądrości rodem znad Morza Śródziemnego. Radzi też kultywować cnotę obojętności, wewnętrznego spokoju. Zaleca, że “Dusza sucha jest ze wszystkich najmądrzejsza i najlepsza”, czyli taka dusza “która ani nie oddaje się snom i złudzeniom, ani nie płacze nad rzeką czasu”.

Najwięcej miejsca poświęca ukochanej Grecji i podziwianemu Rzymowi. A w tym, co mówi o antyku dwie postacie stale się przewijają: Homer i Horacy. Przypomina, że żyli pod tym samym niebem w świecie poddanym straszliwym wyrokowi przeznaczenia i śmierci. Obaj w pięknie literatury i sztuki szukali nieśmiertelności. Posłuchajmy Kubiaka:

“Horacy był heroicznym artystą. Żaden inny poeta nie ukazuje nam tak wyraźnie patosu walki o poetyckie słowo. Bo gdy czytamy „Iliadę”, ogarnia nas od razu wielki dech epopei, heksametry szumią i łopoczą, jak skrzydła. U Homera cierpliwa praca poety-rzemieślnika jest niemal zupełnie pokryta przez rozmach potężnego natchnienia. Oczywiście, w swoich ogromnych gestach jest Homer idealnym wzorem heroizmu sztuki antycznej. Nosił on w

sobie głęboką świadomość tego, co w naszej epoce Conrad nazwał wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Jakaż mogła być sprawiedliwość dla świata, który ginął z niepojętego wyroku? Walczyć o jego ocalenie, oto hasło poetyckiej służby. To zadanie przekraczające siły człowieka, było jedyną nadzieją dla homerowego świata, nadzieją wypowiedzianą ustami Heleny: „Ciężką nam dolę dał Zeus, abyśmy dla potomnych żyli w pieśni”.

Mimo wszystkiego, co dzieliło obu poetów, Horacy stał w tej walce obok Homera. Umiał go komentować tak wspaniale, jak chyba nikt ze starożytnych, oczywiście – nie wtedy, gdy wyciągał z historii trojańskiej stoickie morały, ale wtedy, gdy z genialną intuicją dotykał Homeryckiej sztuki. Niezapomniana jest ta strofa, w której Horacy mówi o bohaterach greckich z czasów przed Agamemnonem:

„oto oni wszyscy zaginęli w mroku nocy, bo nie mieli swojego poety. Czy rozumiemy, co znaczy owa sława, którą bohaterowie uważali za najwyższe dobro, co znaczy owo imię żyjące w pieśni? Jest to krąg światła, który zmaga się z mrokiem unicestwienia, z nocą ogarniającą świat. Homer chciał wydrzeć Mojrze choćby część jej łupu. Chciał ocalić blask oczu Achillesa i królewski majestat Troi”.

U Bliklego na Nowym Świecie rozprawiałem z Autorem o wspólnie cenionej przestrzeni rozciągającej się od Morza Bałtyckiego po Morze Jońskie wyobrażając sobie, że siedzę nad sekretnie obudowanym polskim źródłem Aretuzy.

W roku 2003 odwiedziłem go w jego skromnym mieszkaniu w bloku na Pradze. Nie przeczuwałem, że miało to już być nasze ostatnie widzenie.

Nie miał się już doczekać wejścia ojczyzny do Unii Europejskiej, na Nowym Świecie nie będzie dalszych spotkań. Nie otrzymam też widokówek z Aten czy Rzymu od naszego Ostatniego Latyna.

„Poezja to zakon,
a nie łąka motyli”



Rozmowa z ks. Januszem Arturem Ihnatowiczem

Edward Zyman: Przypomnijmy na wstępie kilka faktów. Opuścił Ksiądz Polskę w wieku lat siedemnastu, by w 1946 roku wraz z matką i siostrą połączyć się z przebywającym w Wielkiej Brytanii ojcem, oficerem polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W Szkocji, w polskiej szkole, zdał Ksiądz maturę, po czym uzyskał dyplom angielski na Uniwersytecie Londyńskim, by w 1948 wyjechać do Irlandii, gdzie w latach 1948-1951 studiował filozofię i psychologię na uniwersytecie w Dublinie. W rok po obronie dyplomu (1952) zamieszkał Ksiądz w Toronto w Kanadzie, skąd w 1958 nastąpił powrót do Polski. Kolejnym etapem były studia w Seminarium Duchownym w Kielcach, gdzie cztery lata później Ksiądz otrzymał święcenia kapłańskie. Następne lata przyniosły kontynuację studiów teologicznych w Warszawie, Ottawie i Rzymie, zwieńczonych uzyskaniem w 1984 roku doktoratu w rzymskim Angelicum. W latach 1969-1997 wykładał Ksiądz teologię na uniwersytecie katolickim St. Thomas w Houston w Teksasie, gdzie mieszka do dzisiaj. Czy w tym skrótowym z konieczności biogramie wszystko się zgadza, a może Ksiądz chciałby wprowadzić doń pewne korekty i uzupełnienia?

Janusz Artur Ihnatowicz: Wszystko się zgadza.

E.Z.: Czy zachował Ksiądz w swojej pamięci okoliczności powojennego wyjazdu do Anglii? W tamtym okresie z oczywistych względów nie było to przedsięwzięcie łatwe.

J.A.I.: Tak, to przecież było dramatyczne przeżycie. Nie tylko sam fakt opuszczenia Ojczyzny. Już teraz nie bardzo mogę sobie odtworzyć moje nastawienie do tego faktu. Wcześniej nieco w paczce kolegów i koleżanek z tajnych kompletów wojennych snuliśmy rozważania o oporze przeciw komunie. Ale już zaczęli znikać koledzy poszukiwani przez UB, o których dowiadaliśmy się, że są w Anglii. Wszystko to czyniło takie wyjazdy czymś mniej „nie-do wyobrażenia”. Zresztą wątpię, czy rzeczywiście miałem jakieś zdecydowane sprzeciwy wobec podjętej przez Matkę decyzji. Natomiast sama podróż przez „zieloną granicę” barką na Odrze i kanale do Berlina była jak z powieści przygodowej. Po paru tygodniach w Berlinie pojechaliśmy pociągiem do stacji bliskiej granicy strefy brytyjskiej. To był najbardziej pełen obaw odcinek, bo w czasie przejazdu przez strefę sowiecką zdradzenie się jako Polacy wobec współpasażerów przepełnionego pociągu groziło tym, że nas wydadzą władzom sowieckim. Nasz opiekun, Volksdeutsche z Polski, ogłosił, że jesteśmy Niemcami z Estonii – to miało tłumaczyć braki naszej niemczyzny. Później nocna wielokilometrowa wędrówka do granicy strefy brytyjskiej – ciąгла obawa, że natkniemy się na patrol sowiecki. A potem to już była „normalka”. Polskie władze wojskowe zaopiekowały się nami,

wydały nam karty dipisów i umieściły w słynnym Maczkowie, gdzie doczekaliśmy wiz do Anglii. Cóż, to historia na różne sposoby podobna do wędrówki setek, jeśli nie tysięcy rodzin wojskowych. Czasem żałuję, że nie zmobilizowałem się, by to opisać. Może teraz, jako poeta i profesor na emeryturze, coś na ten temat zrobię.

E.Z.: W latach 50. i 60. był Książd związany z londyńską grupą Kontynenty, zjawiska w historii polskiej literatury wyjątkowego. Czy zgodziłby się Książd z tezą, że ówczesne kontakty z kręgiem młodych polskich poetów, którzy debiutowali na obczyźnie, miały istotny wpływ na Jego późniejszą działalność literacką, a może, powiedzmy to wprost, zdecydowały wręcz o tym, że książd został pisarzem? Po latach w jednym z wywiadów Książd wprowadzie oświadczył: „Nigdy nie tęskniłem za środowiskiem”, nie potrafię się jednak wyzbyć wątpliwości, czy podobnie Książd czuł w tamtym, szczególnym w Jego życiu, okresie. Przecież wówczas, dla młodego emigranta o literackich ambicjach przebywanie wśród ludzi zbliżonych wiekiem, zainteresowaniami i doświadczeniami życiowymi, którzy byli uczestnikami istotnych dyskusji i odbiorcami jego pierwszych prób pisarskich, musiało być z wielu względów znaczące.

J.A.I.: Kontynenty? Na pewno wpłynęły na to, że stałem się poetą publikowanym. Ale wiersze pisałem już wcześniej. Powiedziałbym nawet, że w pewnym sensie nie należałem do tej

grupy, bo gdy oni formowali się (w sensie wspólnej działalności wydawniczej) najpierw byłem daleko od Londynu w Irlandii, a potem jeszcze dalej – w Kanadzie. Właściwie tym, który sprowokował moje pierwsze już na poły dorosłe zafascynowanie poezją polską był polonista Czesław Bobolewski w szkole polskiej w Garelochhead w Szkocji. Potem, podczas studiów w Dublinie, było paru kolegów, z którymi czytaliśmy sobie wzajemnie wiersze. Nawet mieliśmy wieczór autorski w „salonach” konsulatu polskiego – wtedy jeszcze Irlandia uznawała polski rząd na uchodźstwie. O ile mi wiadomo – spośród nich tylko ja zostałem zawodowym pisarzem.

E.Z.: Wymienił Książd nazwisko Czesława Bobolewskiego.

J.A.I.: Tak, wspomniałem jego nazwisko, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwszą osobą, która coś we mnie odkryła i zaszczepiła miłość do literatury była pani Różycka, profesorka języka polskiego na tajnych kompletach w I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Dzisiaj nie pamiętam już jej imienia, wiem natomiast z całą pewnością, że prowadzone przez nią lekcje języka polskiego i przede wszystkim rozmowy z nią były dla mnie wielce inspirujące. Czułbym się niezręcznie, gdybym w naszej rozmowie tym wspomnieniem nie spłacił zaciągniętego wobec niej długu. Natomiast jeśli chodzi o Czesława Bobolewskiego, był to znany i ceniony przed wojną polonista w Grodnie, a od roku 1937 w Harbinie w Mandżurii

(gdzie zastąpił Zbigniewa Folejewskiego). Wojna zmusiła go do ewakuacji z Harbinu, później był nauczycielem w różnych szkołach polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Obok mnie do jego uczniów należał m. in. Florian Śmieja. Bobolewski uczył nas, jak powiedział Zbyszek Siemaszko, ekonomii słowa i „jędrnej mowy”. Wojciech Jerzy Podgórski w swojej książce *Emigracja walczących* pisze, że ma egzemplarz *Ryb na piasku* z jego uwagami na marginesie.

Wracam jednak do moich początków literackich. Z późniejszej londyńskiej grupy miałem osobisty kontakt tylko z Bolesławem Taborskim, gdy jeszcze żadnego wcielenia „Merkuriusza” nie było. To on zrobił ze mnie kontynentowca, bo zaczął mnie tam publikować. W ich działalności, nawet we wcześniejszym okresie (przed październikiem 56) właściwie nie brałem udziału, poza listami do Taborskiego, z których wyjątki on później tam drukował. To powiedziawszy, muszę przyznać, że moje rozumienie naszej sytuacji, jako poetów piszących po polsku, zgadzało się zasadniczo z tym, jak to inni członkowie Kontynentów odczuwali.

E.Z.: Krytycy, badacze literatury wielokrotnie zwracali uwagę na wyjątkowość tej sytuacji, stwierdzali to także sami członkowie grupy (Czerniawski, Czaykowski, Busza, warto przypomnieć tu także słynne sformułowanie Księdza opublikowane w 1955 roku na łamach „Merkuriusza Polskiego”: „My widzimy kulturę polską

przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej. My Słowackiego czytamy na tle topoli Sekwany, na tle ścian Stratfordu"). Język angielski nie „kusił” w sensie poetyckim?

J.A.I.: I to jest chyba najciekawsza sprawa. Wydaje mi się jednak, że często się przesadza, co do realności naszego możliwego wyboru twórczości angielskiej. Poza może Andrzejem Buszą, nasz kontakt z kulturą angielską dokonał się w wieku, gdy już byliśmy dość uformowani językowo i kulturowo. Nasza wyobraźnia była wyobraźnią Polaków. Choć to prawda, jak pisałem do Taborskiego, że my spoglądamy na Wisłę od Tamizy, że mamy tendencję do spoglądania na poezję polską przez soczewkę poezji anglojęzycznej, że to jednak Wisła a nie Tamiza jest rzeką naszej wyobraźni, a poezja angielska jest odświeżeniem naszej polskiej literackiej mowy. Szereg z nas wyprodukowało angielskie wiersze, lecz te – z wyjątkiem najmłodszego z nas Buszy, który po latach zarzucił język polski – zawsze chyba były czymś ubocznym. Osobna sprawa to problem tłumaczenia siebie i innych na angielski.

E.Z.: Domyślam się, że siebie tłumaczył Ksiądz raczej niechętnie, skoro w *Poezjach zebranych* znalazł się wydany w 1975 roku w Londynie anglojęzyczny tom *Displeasure*.

J.A.I.: Początkowo zakładałem, że tom będzie zawierał tylko wiersze polskie. Redakcja jednak postanowiła, że poezje zebrane to znaczy wszystkie wiersze publikowane. O tłumaczeniu tych wierszy nie było mowy, ile to by czasu zajęło. Istniało szereg przekładów Beaty Tarnowskiej. Kilka ukazało się we „Frazie”, inne w częściowych cytatach w jej książce *Między światami*. I tu powstał pewien paradoks, bo szereg wierszy w pierwszej części *Displeasure* to wersje angielskie wierszy, które się wcześniej ukazały w polskich tomikach. Także tłumaczyłem wiersze, które ukazały się w wydanej w Kanadzie antologii *Seven Polish-Canadian Poets (1984)*. Ale ma Pan rację, że mój stosunek do moich własnych i innych tłumaczeń moich wierszy (i to w obie strony) jest dość ambiwalentny; najczęściej produkt otrzymany sprawia poczucie niedosytu, zwłaszcza od strony dźwięku i rytmu, a więc czegoś, co dla mnie jest istotne w poezji.

Wracając do Pana poprzedniego pytania o potrzebę polskiego poetyckiego środowiska, zwłaszcza rówieśników. Nie miałem tutaj wyboru, bo takiego środowiska nigdy nie mogłem mieć. W Kanadzie utrzymywałem sporadyczne i przyjacielskie kontakty z Danutą Bieńkowską, lecz poezja nie była ich podstawowym, głównym wątkiem. Kontaktowałem się też z Iwaniukiem, Jadwigą i Adamem Tomaszewskimi, także Zofią Bohdanowiczową, ale to było już inne pokolenie. Być więc może, że to życie tak moją psychikę literacką uformowało, że straciłem poczucie potrzeby tego, czego nie mogłem mieć. W czasie mojej młodości mój

romans z poezją odbywał się całkowicie *via* książki. I tak pozostało: moje pisarstwo nie potrzebowało i nie potrzebuje podniety poetyckiego „środowiska”.

E.Z.: Pierwsze wiersze zamieścił Ksiądz na łamach londyńskiego „Życia Akademickiego” w 1954 roku. Później były publikacje na łamach „Merkuriusza Polskiego” i „Kontynentów”, druk w zredagowanej przez Adama Czerniawskiego antologii *Ryby na piasku* (1965), opracowanej przez ks. Bonifacego Miązka antologii współczesnej poezji kapłańskiej *Słowa na pustyni* (1970), ale pierwszy samodzielny tom księdza *Pejzaż z postaciami* ukazał się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy dopiero w roku 1972, a więc w 43 roku życia. Co było przyczyną tak późnego debiutu książkowego? Uwarunkowania emigracyjne? Wybory i preferencje osobiste? Szczególny rodzaj pisarskiej perfekcji?

J.A.I.: Późny debiut to nie był mój wybór, ale władz PRL. Po przyjeździe do Polski miałem przyjęty w PIW-ie tomik (z tytułem *Tygrys*). Potem, chyba dlatego, że wstąpiłem do Seminarium, po kilkuletnim zwlekaniu wycofali się z tego. W zmienionym i poszerzonym składzie książkę chciał wydać ZNAK, ale przez szereg lat cenzura wykreślała ją z planu. Podobnie wykreślono mnie z antologii poetów Kontynentów *Opisanie z pamięci* wydanej w 1965 roku w Polsce. Ostatecznie zdecydowałem się opublikować coś w Londynie. I tak się stało, że ostatecznie

pozwolono ZNAK-owi na wydanie *Wierszy wybranych*. Oba tomiki drukowane były w tym samym czasie, ale Oficyna zdążyła *Pejzaż z postaciami* opublikować w roku 1972. Inna sprawa, że zawsze miałem i mam dość *laissez-faire* nastawienie do zabiegania o publikację moich utworów.

E.Z.: Wróćmy na chwilę do naturalnych w sytuacji, Księdza i Jego przyjaciół z Kontynentów, inspiracji literaturą angielską, co zaowocowało bogatą działalnością translatorską. Wyrazem tego są m. in. zamieszczone w *Poezjach zebranych* tłumaczenia wierszy Audena, Hopkinsa, Yeatsa, Pounda, Thomasa czy Cummingsa. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że była to działalność dwustronna, bo przecież Ksiądz, Czerniawski, Czaykowski, Busza, Sito, Taborski i inni tłumaczyli także „w drugą stronę”, przyswajając czytelnikowi anglojęzycznemu interesujące zjawiska literatury polskiej. Stwierdziłem, że w przypadku twórców ukształtowanych w dwóch (lub więcej) kulturach to rzecz równie cenna, co zrozumiała. W tym jednak konkretnym przypadku chciałbym zapytać o coś, co dotychczas nie było wyraźnie podkreślane. Ksiądz wrócił do kraju w 1958 roku, rok później do Polski przeniósł się Jerzy Sito, który został redaktorem „Współczesności”. Był to czas, gdy w polskiej poezji dokonywały się ważne procesy przewartościowań zapoczątkowane w połowie lat pięćdziesiątych znaczącymi tomami Mirona Białoszewskiego (*Obroty rzeczy*), Zbigniewa Herberta (*Struna światła, Hermes, pies i gwiazda*), Tymoteusza

Karpowicza (*Kamienna muzyka*), wydanym w 1956 przez Wydawnictwo Literackie tomem *Wierszy* Andrzeja Bursy. A przecież warto wspomnieć także o poezji Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza czy Tadeusza Nowaka. W prozie był to m. in. okres głośnego debiutu Marka Hłaski. Toczyły się w tym czasie (przede wszystkim na łamach „Współczesności”) burzliwe nierzadko dyskusje literackie. W 1960 roku nakładem wydawnictwa PAX ukazał się tom *Poezje wybrane* T. S. Eliota z esejem Wacława Borowego, przyswajającym polszczyźnie tego ważnego, nie tylko dla debiutujących w owym czasie autorów, poety. Przypuszczam, że były to zjawiska dla Księdza z wielu względów inspirujące.

J.A.I: Inspiracje, czy tylko świadomość tego, co się dzieje? Zaczniemy od sprawy najłatwiejszej – Eliota. Przypuszczam, że ten tom tłumaczeń dotarł do mej świadomości, ale nie bardzo pamiętam. Na Eliota nie musiałem czekać na tłumaczenia, był on w mojej świadomości od dawna. Co do innych, chciałbym odróżnić dwie sprawy. Pierwsza to zaistnienie autorów wymienionych przez Pana (a można by dodać i innych). Naturalnie po powrocie do Polski spotkałem się tymi książkami. Z wymienionych Mirona Białoszewskiego znałem osobiście, często bywałem u niego nie tylko na spektaklach, ale na dziennych pogaduszkach przy herbacie. Nawet dał mi zgodę na wystawienie *Szurów* w teatrze kleryckim w Kielcach. O ile mi wiadomo była to pierwsza prezentacja jego sztuki poza jego

własnym „teatrem osobnym”. Czytałem i czytam wiersze tego poety z przyjemnością, bo podziwiam jego wirtuozerię słowotwórczą i zabawy językowe. Ale nie była to chyba inspiracja w jakimś bardziej istotnym sensie. Podobnie z Harasymowiczem. Trochę moich wierszy „na manierę pseudoludową” styka się z jego twórczością, czytuję go do dziś z przyjemnością, ale nie widzę w nim jakiejś inspiracji. Co do innych wymienionych przez Pana autorów? Szczegóły już mi się zatarły w pamięci. Natomiast, mógłbym zrobić listę innych nazwisk z tego okresu. Trzeba też pamiętać, że wtedy, przeszło pół wieku temu, nie wstawiono ich jeszcze do narodowego panteonu. Byli to młodzi ludzie w gromadzie innych piszących wiersze. Atmosfera skandalu wokół takich autorów jak Hłasko miała więcej do czynienia z polityką owego czasu niż literaturą. Kto, na przykład, czyta dzisiaj *Poemat dla dorosłych* Ważyka? Inna sprawa to owe „procesy przewartościowań” i płynące z tego dyskusje we „Współczesności” (i gdzie indziej). Trzeba pamiętać, że w roku 1958 już się one dopalały. Wydały mi się też nieco zaściankowe, bo wyrastające z problemów małego zakątka komunistycznego raju. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to postulaty różnej maści reformatorów sprawiały na mnie wrażenie wyważania drzwi dawno w literaturze świata zachodniego otwartych. Osobiście nie musiałem się wyzwalać z zauroczenia komunizmem, a terror stalinizmu mnie ominął. W przeciwieństwie też do Sity czy Taborskiego nie przyjechałem, by się włączyć w jakąś wersję tworzenia socjalizmu z ludzką twarzą. A moje parę miesięcy po

przyjeździe bycia prawie celebrytą oscylującym między „katolikami” a „reżymowymi literatami”, którzy mnie chcieli od tych „katolików” uwolnić, przekonało mnie, że te gazetowe burze to próżne gadanie bez wielkiego wpływu na to, co rządzący PRL uczynią. Zresztą przyjechałem do Polski by zostać księdzem a nie działaczem literackim. Moje stosunki z literaturą ograniczały się do czytania tego, co mi odpowiadało.

JANUSZ A. IHNATOWICZ



POEZJE ZEBRANE

E.Z.: Wspomniałem o tomie Eliota i kilku zjawiskach charakterystycznych dla polskiego życia literackiego i intelektualnego w latach Październikowego przełomu z tego przede wszystkim względu, że wiązały się one w przypadku Księdza, jak sądzę, z istotną zmianą optyki. To, co z perspektywy Londynu czy Toronto jawić się musiało niezbyt precyzyjnie, po przyjeździe do Polski ukazało z pewnością pełną gamę barw, niuansów i znaczeń.

J.A.I.: Na pewno jakaś zmiana optyki zaistniała. Muszę przyznać, że mój kontakt z poezją polską do roku 1958 ograniczał się prawie do klasyków poznawanych z paru antologii. Nie mogłem, tak jak koledzy w Londynie, korzystać z Biblioteki Polskiej. Literatura powstająca w PRL, poza nielicznymi wyjątkami, była dla mnie w dużym stopniu prawdziwa *terra incognita*. Obawiam się jednak, że nadal pozostałem w pewnym stopniu *outsiderem*, który z przyjemnością czytał nowo odkrytych poetów, lecz którego zanurzenie się w przywołanej przez Pana „gamie barw i niuansów” było czymś mało interesującym. To w inne sprawy zanurzyłem się zdecydowanie.

E.Z.: Skoro obcujemy z poezją kapłana łatwo, niejako automatycznie, narzucają się skojarzenia, że musimy mieć do czynienia z poezją w wąskim rozumieniu tego słowa religijną. Twórczość Księdza temu wyraźnie zaprzecza. Powołanie kapłańskie wchodzi w przypadku Księdza z powołaniem

poetyckim w związku bardziej złożone, rzekłbym: egzystencjalnej natury. W każdym razie wiersze jakie znalazły się w *Poezjach zebranych* nie sposób nazwać laboratorium Jego myśli teologicznej, co byłoby zasadną kategorią opisu poezji na przykład ks. Jana Twardowskiego czy Karola Wojtyły.

J.A.I.: Ma Pan rację. Jak to często powtarzam, moja poezja nie jest „poezją kapłańską” w sensie nadanym temu wyrażeniu przez Stefana Sawickiego: „Rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub wypowiedź o świecie z wnętrza kapłańskiego doświadczenia”. Nie jest to nawet „poezja teologiczna” – jak Wojtyły. Nie mając umysłowości filozoficznej nie potrafię tworzyć wierszy filozoficznych czy metafizycznych, które są jakby ubranym w symbole i obrazy zamyśleniem nad ważkimi problemami świata i egzystencji. Moje wiersze to raczej próby opisu konkretnych wypadków i zwykłych sytuacji ludzkich oparte o intuicyjne przeczucie ukrytego w tych wydarzeniach jakiegoś „drugiego dna”, dotknięcie którego przez opis w wierszu da czytelnikowi tę radość, która płynie z przeniknięcia poza banalność powierzchownego tylko poznania świata i własnej egzystencji. Jak napisała w innym kontekście Beata Obertyńska, „Szczęście nie ma być wielkie by było doskonałe”. Może płynąć z głębszego i bardziej sympatyzującego zobaczenia „Popołudnia podwórzowego burka”, jak i dramatu wojennego zniszczenia. Mam nadzieję, że moje wiersze w tym sensie są kapłańskie i chrześcijańskie.

E.Z.: Jako czytelnik nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Równocześnie jednak nie sposób nie zauważyć – co podkreśla Alicja Jakubowska-Ożóg, redaktorka *Poezji zebranych* i zarazem autorka do nich wstępu – że wiersze Księdza nierzadko „przywołują autorytet Biblii” i że jest ona w nich obecna nie tylko w postaci cytatu, aluzji czy parafrazy, ale nade wszystko „w sposobie ujmowania ludzkiej egzystencji, wykorzystywana jako dyskretny komentarz do rzeczywistości nie pozbawiony często ironii czy sarkazmu”. Na potwierdzenie tak sformułowanej tezy można przytoczyć takie piękne, głębokie wiersze jak „Krajobraz wewnętrzny”, „Balaam”, „Niewidomy z Betsaidy”, „W poszukiwaniu straconego domu”, „Elegia na śmierć Kosówki”, „Powrót wygnańców” czy „Upadek zachodniego świata” – wymieniłem kilka zaledwie przykładów. W innym miejscu przywołana autorka napisze wprost: „Poezję autora *Niewidomego z Betsaidy* należy widzieć jako swego rodzaju palimpsest, w którym w różny sposób poprzez bezpośrednie nawiązania, stylizacje, inkrustacje motywami, postaciami prześwieca obraz *Księgi*”. To bardzo trafna, moim zdaniem, interpretacja.

J.A.I.: Bardzo pochlebna ta opinia pani Jakubowskiej-Ożóg, mam nadzieję zasłużona. Ale tutaj potrzeba ostrożności. Takie nasycenie „językiem biblijnym” może być tylko skutkiem podobnego nasycenia potocznej kultury polskiej. Nie musi być ono dowodem osobistego przyjęcia biblijnej wizji świata.

Przykłady z polskiej, i nie tylko polskiej literatury można by mnożyć. Choć jak się sprawa ma, da się na ogół poznać przez analizę roli, jaką spełnia ten język w poszczególnych utworach.

E.Z.: Obszerny tom *Poezji zebranych* stanowi (niepełny) plon blisko sześćdziesięcioletniej działalności twórczej Księdza. Od pewnego momentu preferuje Ksiądz formę krótką, często epigramatyczną, która przynosi skondensowane rozpoznania, a także pytania dotyczące istoty ludzkiej egzystencji. I znowu tytułem przykładu przytoczyć można kilka wierszy: „O zachodzie słońca”, „O ptasie skrzydło”, „Statek widmo”, „Epigramat o nadziei”, „Do drzwi dochodząc”. W jednym z nich udziela Ksiądz wręcz dowcipno-przekornej odpowiedzi na pytanie „Dlaczego piszę krótkie wiersze”.

J.A.I.: Najprostsza odpowiedź: bo się starzeję. Przyszło to bez żadnego mojego zamierzenia, naturalnie. Zenon Ożóg pisał kiedyś o cechach charakterystycznych „poezji senilnej”. Krótkość może być taką cechą. Starzy ludzie szybko się męczą. Przywołany przez Pana wierszyk daje odpowiedź właśnie w tych kategoriach. Człowiek się łatwiej wyczerpuje. Ale można na to spojrzeć od strony pozytywnej: nie chodzi tu tyle o krótkość, co o zwartość. Moim zdaniem najbardziej przejmujący późny wiersz Mickiewicza to właśnie pięciolinijkowe „Połały się łązy”. Gdy się złączą dojrzałość starości (jeśli się do takiej dojdzie!) i opanowanie rzemiosła, człowiek może dojść do sedna sprawy „na

skrót” i znaleźć metaforę, która to wyrazi.

E.Z.: Podrażmy przez chwilę ów problem „dojrzałej starości”, choć w nieco innym aspekcie. Poezja Księdza nigdy nie była przesadnie optymistyczna, sporo w niej wizji ciemnych, apokaliptycznych, a przywołany przed chwilą badacz, charakteryzując tom *Niewidomy z Betsaidy*, stwierdził, że jest on naznaczony „w nieporównanie większym stopniu niż cała dotychczasowa twórczość, piętnem śmierci”, co pozwoliło mu przywołać obecne, jego zdaniem, w wierszach Księdza „poczucie fatalizmu losu człowieka”. Swe wnikliwe i interesujące skądinąd refleksje badacz ów kończy następującą tezą: „Wydaje się, że te wyznania, których tematem jest negatywny stosunek zarówno do życia, jak i do śmierci, stanowią raczej wyraz kryzysu duchowego. Nie ma tu buntu, rozpacz, ale męskie wyznanie obawy, lęku wobec nieuchronnie uciekającego czasu”. Czy Ksiądz gotów przyznać, że przytoczone sformułowania trafnie oddają Jego życiową i pisarską filozofię?

J.A.I.: Owe psychoanalizy krytyków literackich sprawiają mi satyryczną radość. Nie bardzo jednak rozumiem dlaczego świadomość „nieuchronnie uciekającego czasu” ma być „wyrazem kryzysu duchowego”. W pierwszym rzędzie świadczy raczej o wyleczeniu się z choroby młodości, wiary we własną nieśmiertelność (i to nieśmiertelność, która jakoś zaneguje rzeczywistość śmierci – co, jak ktoś powiedział, jest dobrą

definicją piekła). Moja „filozofia” to rzeczywiście wiedza, że „wszystko mija”, ale nie jest to wiedza pełna strachu czy goryczy, lecz wiedza wyzwalająca z zależności od rzeczy, w których choćbym nie wiem jak chciał, nie znajdę stałego domu.

E.Z.: W „Pieśni samotnego człowieka” znajdujemy korespondujący z tą konstatacją fragment:

Dom mój wielokroć budowany
rozpłynął się jak zmrok
bo z chceń i snów uwity
ułudy wiecznej namiot

J.A.I.: To jest bardzo wczesny wiersz, powstał w latach pięćdziesiątych. Obawiam się, że nie rozumiałem tego stwierdzenia w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, a raczej tylko egzystencjalnych. To takie stwierdzenia młodego człowieka, że wszystkie próby znalezienia kontaktu, domu w tym sensie kończą się niepowodzeniem. To, co miało być domem na życie, okazało się być tylko pokojem hotelowym.

E.Z.: Jako twórca stawiał sobie Ksiądz zawsze wysokie

wymagania. Nie wątpię, że mimo absorbującego powołania kapłańskiego, poezji, owej wielkiej pani, jak ją określił Karol Wojtyła, poświęcał Ksiądz należną uwagę. Utwierdzają mnie w tym odczuciu nie tylko same wiersze, ale także jedna z wcześniejszych, z początków lat sześćdziesiątych, wypowiedzi Księdza. Rozważając funkcję i znaczenie metafory, która pozwala „zejść głębiej, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy” stwierdził Ksiądz wówczas, że „poznaje się istotę świata (ut cognitum ut appetitum) przez głębsze poznanie samego siebie”. I dlatego, tak brzmiała konkluzja wyводу: „poeta ma obowiązek wobec samego siebie pogłębiania swego życia duchowego. Poezja to zakon, a nie łąka motyli”.

J.A.I.: Nie wiem czy sformułowałbym to w ten sam sposób obecnie, ale podstawowa myśl jest wciąż moja. Godzę się z Wojtyłą, że „Poezja to wielka Pani” (choć może nie tak wielka jak on uważał – mniej we mnie dziedzictwa romantyzmu). Dlatego nie można jej traktować „per nogam”. Stąd obowiązek pisania dobrze, i nie jest tu błahą sprawą opanowanie rzemiosła. Ale chodzi o coś więcej. Poezja musi płynąć ze szczególnego rodzaju wiedzy. Inaczej wiersze staną się pustym przelewaniem pięknych choćby słów, lub taką czy inną „propagitką”. I tu sprawa metafory, która jest dla mnie podstawowym językiem poezji. Metafora, czy bardziej ogólnie stworzenie symbolu, to próba uchwycenia i zakomunikowania owej intuicji „drugiego dna” rzeczy, owego zejścia w głąb, poniżej powierzchni rzeczy, by w

jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy. A zdolność do takiego spojrzenia w głąb wymaga dyscypliny intelektualnej i moralnej, czy ogólnie egzystencjalnej, bez niej człowiek ślizga się po powierzchni od podniety do podniety. Tak więc poważne traktowanie siebie jako poety, poważne traktowanie Poezji, wymaga podwójnego trudu opanowania medium i opanowania siebie. I tu podobieństwo do zakonu. Kto nie jest na ten trud zdecydowany, niech się poświęci produkcji cukierków lub sprzedawaniu działek na Marsie.

E.Z.: Wielokrotnie Ksiądz podkreślał, że nie miał ambicji zostania poetą anglojęzycznym. Przebywanie wszakże przez kilkadziesiąt lat na obczyźnie sprawiło, że wiersze Księdza pozostawały, nie tylko ze względów politycznych, poza głównym nurtem także polskiego życia literackiego. Dotyczy to zresztą również poezji innych uczestników naturalnego literackiego eksperymentu, jakim była grupa Kontynentów. Krytycznie wypowiadają się na ten temat m. in. Czaykowski i Czerniawski w wydany przed kilku laty tomie swych rozmów zatytułowanym *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*. Zwracają w nim m. in. uwagę na preferujące „krajowców” mechanizmy polskiego życia literackiego, w tym charakterystyczne hierarchie tzw. środowiska. Czy fakt ten był, jest przedmiotem refleksji Księdza?

J.A.I.: Nie wiem czy refleksji, bo mało temu poświęciłem czasu i uwagi. Ale to jest na pewno tak zwany „fakt życia”. W jakimś

sensie jest to normalna ludzka sprawa kumoterstwa, które działa w tworzeniu tak zwanych elit. Był to dawniej (może nadal jest) problem pisarzy mieszkających na tak zwanej prowincji. Czerniawski z Czaykowskim na to utyskiwali, bo ich irytowało to wykluczenie z salonu. Ja to przyjmuję za jeden z „faktów życia” i nie buntuję się przeciw byciu poetą bardzo „niszowym”.

E.Z.: Dotychczas w naszej rozmowie nie pojawiły się wątki osobiste, prywatne, a myślę, że czytelnika zainteresować by mogło, co wypełnia Księdzu czas poza posługą kapłańską i pisaniem wierszy? Czy Ksiądz utrzymuje kontakty towarzyskie z twórcami, zwłaszcza polskimi, osiadłymi na tym kontynencie? Co jest Jego pozazawodową i pozaliteracką pasją? Słowem jak „zagospodarowuje” Ksiądz tak twórczo owocującą jesień swego życia?

J.A.I.: Obawiam się, że tego czasu poza „posługą kapłańską i pisaniem wierszy”, a przecie także pracą badawczą i pedagogiczną zostawało mi przez życie bardzo mało. I nie tylko o czas tu chodzi, ale – głównie – o inwestycję kapitału intelektualnego i emocjonalnego. Geografia sprawia, że kontakty z twórcami (i w Polsce, i na tym kontynencie) są raczej mizerne i sporadyczne. Obawiam się też, nie mam niczego, co by można nazwać „pozazawodową pasją”. Są naturalnie rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, czy dają radość, którymi wypełniam wolny czas: muzyka klasyczna, dawniej wycieczki wysokogórskie.

Jak zagospodarowuję ową „jesień”? Na razie idę jeszcze „rzędem” i naukowym, i poetyckim. Są rzeczy do skończenia (jak na przykład wydanie *Poezji zebranych*). Ale powoli zamykam mój warsztat naukowy i poetycki. Może spróbuję tłumaczenia – jest kilku poetów angielskich, których chciałbym udostępnić czytelnikowi polskiemu. Ale chyba najbardziej zadawalającym zajęciem emeryta jest żyć i czytać bez pośpiechu. Tyle jest wokół nas rzeczy i słów, którym warto się przyjrzeć, a które, spostrzeżone, sprawiają radość.

E.Z.: Gdy Ksiądz w 1969 roku wybierał Houston jako miejsce swej długoletniej pracy i równie długiego zamieszkania, stawiając pierwsze kroki na swej „nowej planecie”, mniej więcej w tym samym czasie, konkretnie w dniu 20 lipca tego roku, Neil Armstrong przekazał z pokładu Apolla 11 historyczną wiadomość o wylądowaniu amerykańskiego statku kosmicznego na Srebrnym Globie. Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się... w Houston. Nie potrafię nie zapytać, jak to dziejowe w życiu naszego gatunku wydarzenie przyjął ksiądz, profesor teologii i poeta?

J.A.I.: Lądowanie na Srebrnym Globie odbyło się na miesiąc przed moim przyjazdem do Houston. Byłem wtedy w Ottawie, w Kanadzie. Naturalnie, byłem zainteresowany i ucieszony tym osiągnięciem naukowym i technicznym człowieka. Ale jako profesor teologii i ksiądz, a może chrześcijanin, nie byłem i nie

jestem skłonny traktować go w kategoriach metafizycznych, nie więcej niż, na przykład, dotarcie do bieguna. Inaczej mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy napisanie *Boskiej komedii*, lub muzyki Mozarta, nie ubogaciło duchowego życia ludzkości więcej w tym, co jest na prawdę zasadnicze.

Mississauga - Houston, sierpień 2012